# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 doł. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

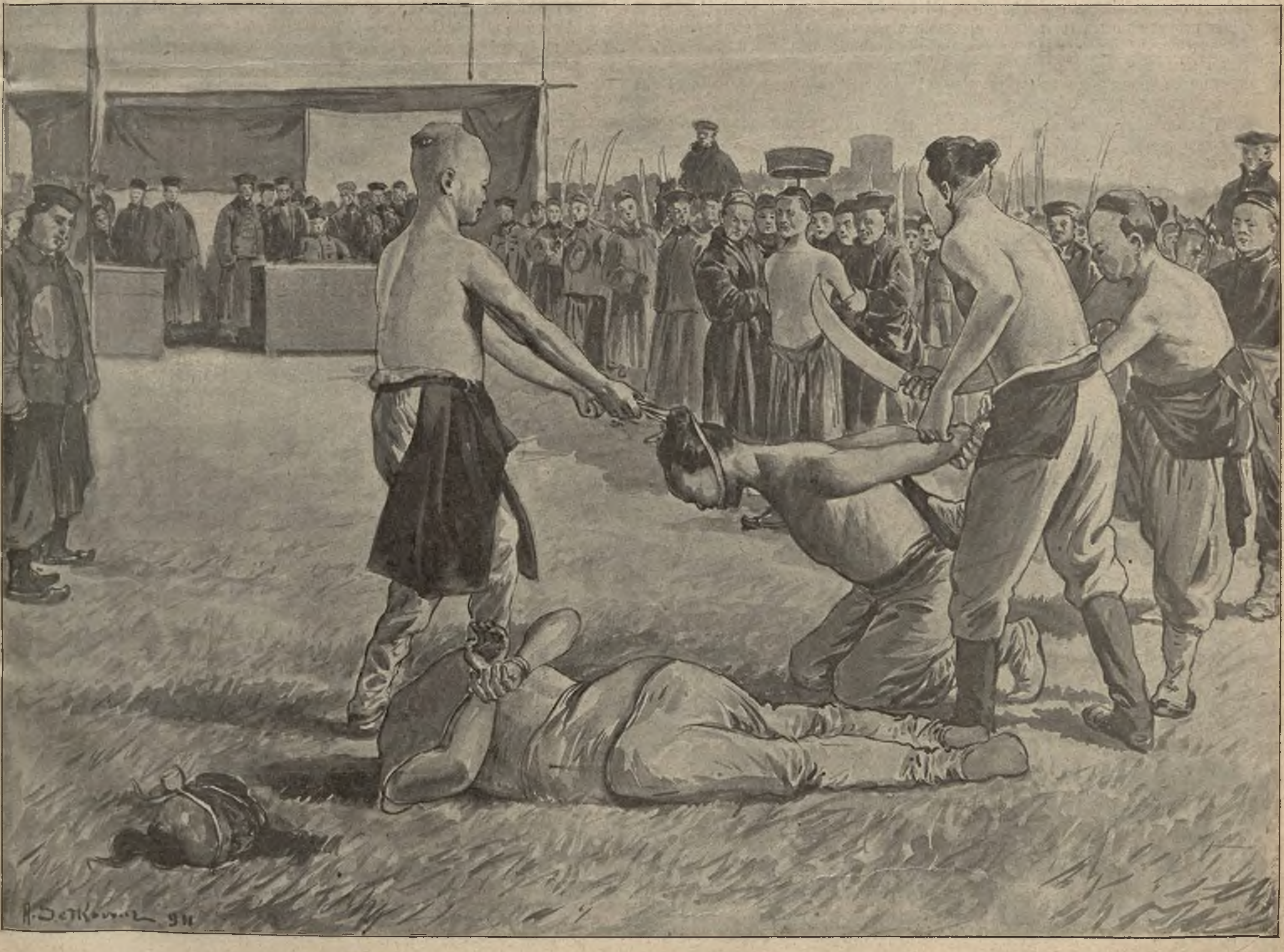
Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. | Kraków, 28 października 1911. | Nr. 43.


# Rzezie w Chinach.

(Treść na str. 2).



Nr. 42. „Nowości Illustrowanych“ zawiera: Zgon twórcy ruchu ludowego w Galicyi. — Najwspanialsza świątynia we Lwowie. — Pomnik Kościuszki w Krakowie. — Minister wojny rekrutem. — Obrońcy Trypolisu. — Włoska wyprawa wojenna. — Zaślubiny w cesarskim domu. — Chiński Bismarck. — Oryginalna winda osobowa. — Sztandar krakowskiej służby miejskiej. — Uroczystości salezyańskie.

## Rzezie w Chinach.

(Do illustracyi tytułowej).

Olbrzymie państwo chińskie stoi obecnie w ogniu rewolucyi. Zwycięzka armia rewolucyjna zdobyła już południową stolicę Nankin i cały szereg innych wielkich miast, jak Wuczang, Hankou, Hanjang, Iczang i t. d. Powstańcy zyskują coraz więcej zwolenników i jedno miasto po drugiem przechodzi w ich ręce. Walki są jednak zacięte i krwawe. Dwa dni trwała prawie bitwa pod Hankou, zakończona zupełną klęską wojsk rządowych. Zwycięzka armia rewolucyjna nie szczędzi też swych znienawidzonych przeciwników — Mandżurów, których dynastya rządzi do dziś dnia w Chinach. Dokonywa wśród nich masowych rzezi, a dobytek ich niszczy ogniem. Krew leje się strumieniami, a tysiące trupów pada po jednej i po drugiej stronie... Bo rząd chiński czyni również wszelkie wysiłki, aby stłumić rewolucyjną burzę, a zna jeden tylko środek: tortury i miecz katowski.

Nie było i niema na świecie państwa, w któremby szafowano tak karą śmierci, jak w Chinach. Ścinają tam nawet w czasach najspokojniejszych, nietylko zbrodniarzy i przestępców, ale ludzi tylko podejrzanych o wrogą dla rządu akcyę. I dziś rząd pekiński w ten właśnie sposób usiłuje ratować swą zagrożoną sytuacyę. Wobec postępów rewolucyi na południu państwa jest bezsilny. Wojska, które tam posyła, przechodzą na stronę powstańców, więc z tem większą zaciętością tępi mieczem katowskim objawy rewolucyjne w północnej stolicy państwa — Pekinie. Co dnia odbywają się tam masowe egzekucye, dokonywane publicznie według zwykłego chińskiego „ceremoniału"... Skazaniec klęka, pomocnik kata przytrzymuje głowę za warkocz, a kat jednem cięciem miecza oddziela głowę od tułowia... Tłum przypatruje się tej potwornej scenie z prawdziwie chińską obojętnością. Bo zresztą obojętnym jest i skazaniec, który patrzy z takim samym spokojem na ścinanie jego towarzyszy — aż wreszcie i na niego przyjdzie kolej.

Ilustracya nasza przedstawia właśnie taką publiczną egzekucyę w Pekinie, dokonywaną na rewolucyonistach w obecności najwyższych dygnitarzy państwowych, którzy z trybuny przypatrują się tej okropnej scenie.

## Zgon twórcy ruchu ludowego w Galicyi.

W dniu 23 b. m. zmarł w Krakowie ś. p. ksiądz Stanisław Stojałowski — jedna z najwybitniejszych i najcharakterystyczniejszych postaci w ostatniem czterdziestoleciu historyi Galicyi. W nazwisku tem streszcza się burzliwa, a niewątpliwie przełomowa karta dziejów galicyjskich.



Zgon twórcy ruchu ludowego w Galicyi: Ś. p. ks. Stanisław Stojałowski na łożu boleści.

Ruch ludowy w Galicyi — zbudzenie wsi do życia politycznego — to dzieło ks. Stojałowskiego, dokonane przytem w warunkach niezmiernie trudnych i ciężkich. Jako pierwszy pionier tego ruchu, który wówczas był w Galicyi czemś zupełnie nowem i niesłychanem, ks. Stojałowski ściągnął na siebie prześladowania, jakich z pewnością nikt w Galicyi nie doznawał. Za rządów namiestnikowskich hr. Kazimierza Badeniego sypały się na niego procesy karne i długotrwałe kary więzienne. Ks. Stojałowski nie ustawał jednak w pracy, a ścigany przez żandarmów, pokryjomu, ukradkiem przebiegał wsie, agitował, organizował i rzucał posiew pod przyszłe odrodzenie nieuświadomionego ludu wiejskiego w Galicyi. I to był może najowocniejszy okres pracy ks. Stojałowskiego. Pomimo niesłychanych prześladowań, potrafił zorganizować silne stronnictwo chrześcijańsko ludowe, które objęło wiele powiatów kraju. Ks. Stojałowski stanął u szczytu swej potęgi, stworzywszy liczną armię swych zwolenników, dla których sam był programem.

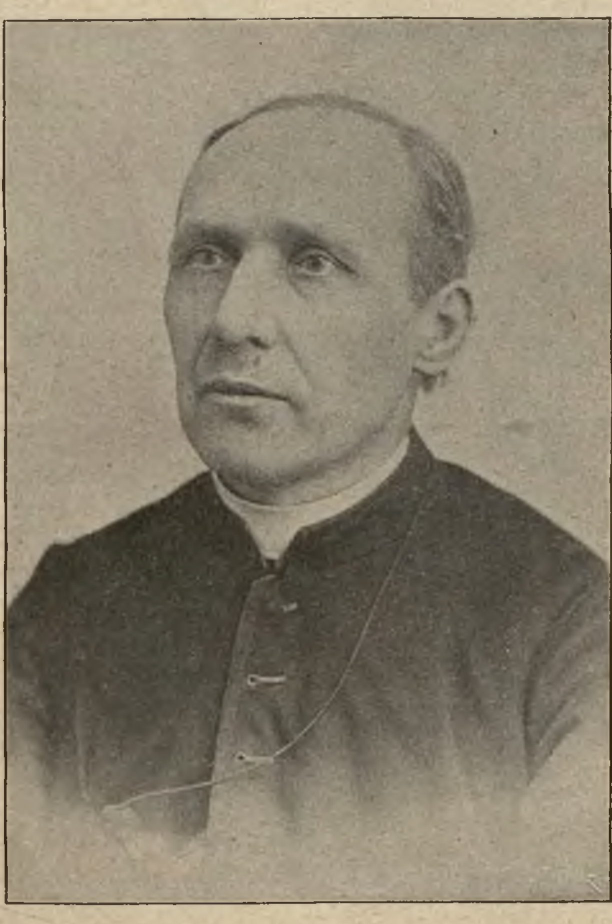
Jego wielkie zasługi i potężna indywidualność, nie uchroniły go jednak od zwykłego losu pierwszych pionierów jakiejkolwiek idei. Rozbudzony przez niego ruch ludowy rozlał się po kraju szeroką falą, ale ks. Stojałowski pozostał z gronem swych najbliższych zwolenników na uboczu. Przyczyniły się do tego i liczne błędy, od których nie był wolny ten niepospolity człowiek. Nie danem mu też było zebrać plonu z ziarn, przez niego rzuconych. Nie zmniejsza to jednak jego zasługi i nic nie może wymazać z karty dziejów galicyjskich faktu, że w Galicyi ks. Stojałowski był pierwszym pionierem ruchu ludowego, że pierwszy poszedł wśród masy ludu wiejskiego i zbudził je do życia politycznego.

Urodzony w r. 1845, ks. Stojałowski rozpoczął wcześnie swą działalność społeczno-polityczną. Po ukończeniu teologii i wyświęceniu na księdza w roku 1869, otrzymał niebawem posadę wikarego we Lwowie i tam już dał się poznać jako doskonały mówca. Otrzymawszy mandat do lwowskiej Rady miejskiej, zdobył wielki wpływ i licznych zwolenników. Przeniesiony następnie na probostwo do Kulikowa, rozpoczął tam szeroką akcyę wśród ludu. W roku 1875 kupił od prof. Czesława Pieniążka dwutygodniki ludowe „Wieniec" i „Pszczółka", które złączone w jedno wydawnictwo, do dziś dnia były wyrazem poglądów i organem stronnictwa ks. Stojałowskiego.

Niebawem jednakże zaczęły się prześladowania ks. Stojałowskiego, który został pozbawiony probostwa, a jego organ stał się przedmiotem pościgów prokuratorskich. Wreszcie nastąpiły najcięższe dla ks. Stojałowskiego czasy. W r. 1895 został aresztowany podczas wyborów do Sejmu, a skazywany następnie wciąż na więzienie, musiał ks. Stojałowski uciekać z kraju i osiadł w Czaczy, na granicy węgierskiej. Nie ustał jednak w pracy społecznej. Tam przeniósł swoje wydawnictwa i stamtąd kierował całą organizacyjną robotą wśród ludu.

Dopiero po ustąpieniu namiestnika hr. Kazimierza Badeniego nastały dla ks. Stojałowskiego lepsze czasy. Mógł powrócić do kraju i prowadzić już jawnie swą organizacyjną pracę wśród włościaństwa.

Do parlamentu wszedł po raz pierwszy ks. Stojałowski w r. 1898, a w r. 1901 uzyskał mandat do sejmu krajowego. Po zaprowadzeniu powszechnych wyborów do Rady państwa ks. Stojałowski uzyskał mandat z okręgu Bochnia-Brzesko. Lecz gwiazda jego, przyćmiona rozrostem stronnictwa ludowego, z którem zmarły prowadził ciętą walkę, zaczęła już gasnąć. Ks. Stojałowski przy ostatnich



Zgon twórcy ruchu ludowego w Galicyi Ś. p. ks. Stanisław Stojałowski.



Najwspanialsza świątynia we Lwowie: Procesya podczas konsekracyi nowego kościoła św. Elżbiety we Lwowie.

wyborach do parlamentu w tymże samym okręgu nie zdołał uzyskać mandatu.

Nie można też również pominąć energicznej działalności ks. Stojałowskiego na Śląsku, najpierw w Cieszynie, następnie w Bielsku, gdzie mieszkał i drukował swe wydawnictwa. Zmarły był właśnie założycielem Domu polskiego w Bielsku, instytucyi, która stała się ogniskiem uciskanych i wynaradawianych przez Niemców — robotników polskich.

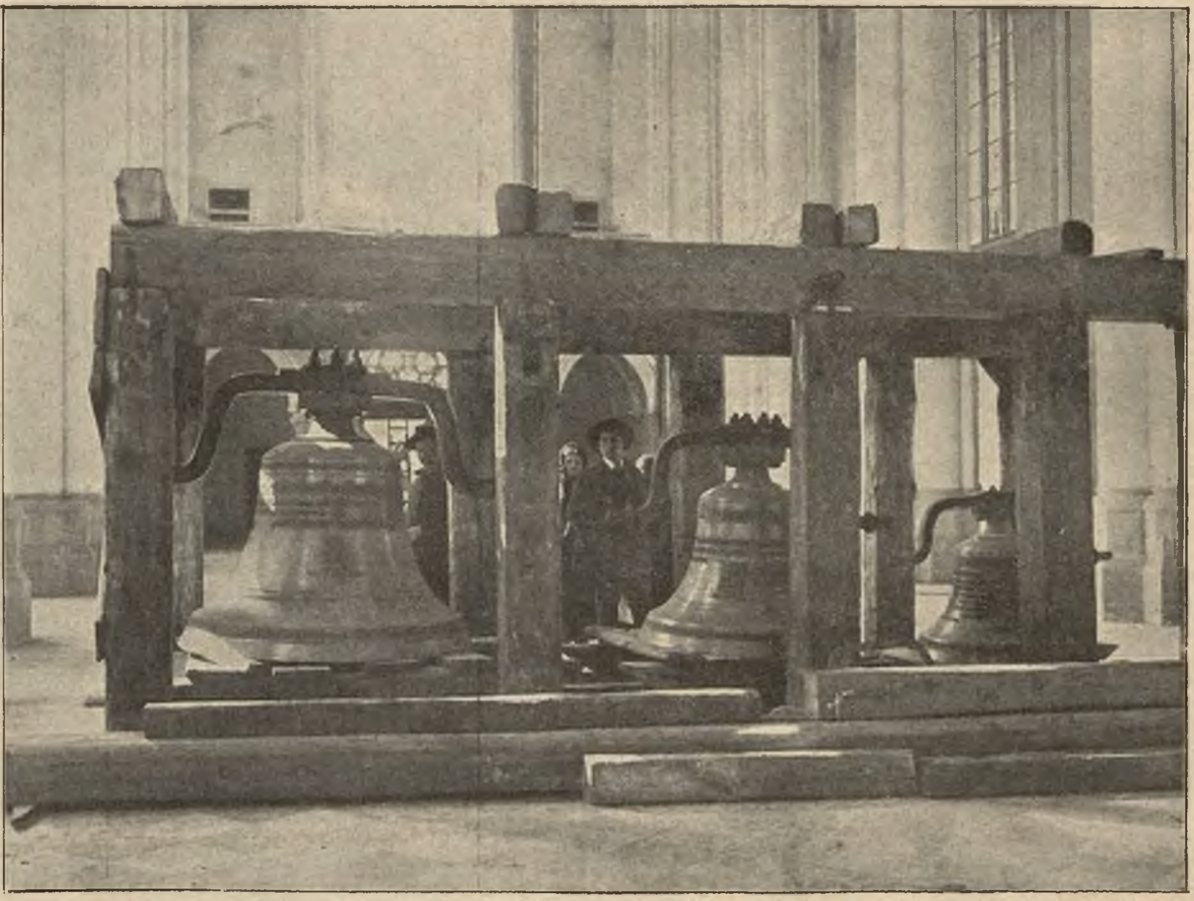
Jako człowiek, ks. Stojałowski odznaczał się dobrocią i uczynnością. Zmarł też prawie w niedostatku, w nędznym pokoiku Towarzystwa emigracyjnego św. Rafała. To najlepiej świadczy, że w każdym razie żył, pracował, walczył, znosił prześladowania — nie dla siebie...

## Najwspanialsza świątynia we Lwowie.

Lwów pozyskał wspaniałą ozdobę — nową świątynię, pod wezwaniem św. Elżbiety. Jest to niewątpliwie największy i najpiękniejszy kościół w stolicy Galicyi. W ubiegłą niedzielę odbyła się właśnie konsekracya tej świątyni, którą w ciągu sześciu lat budowano na placu Solarni i która w dniu tym otworzyła swe wrota na przyjęcie wiernych.

Myśl budowy nowego kościoła w Grodeckiej dzielnicy Lwowa, liczącej 80 000 mieszkańców, wyszła jeszcze od ks. arcybiskupa Morawskiego, a urzeczywistnioną została dzięki energii obecnego arcybiskupa ks. Bilczewskiego, który w tak krótkim stosunkowo czasie doprowadził do końca to dzieło, wymagające milionowych nakładów.

Nowa świątynia, wykonana według planów architekta ś. p. Talowskiego, w stylu romańsko gotyckim, jest gmachem monumentalnym, który utrzymany jest w stylu dawnych wzorów, wytworzonych jeszcze w X wieku, kiedy to poczęto budować bazyliki w kształcie czteroramiennego krzyża łacińskiego. Kościół zdobią dwie czworograniaste wieże, z których wyższa (od strony ul. Grodeckiej) ma 85 metrów wysokości. Pod fasadą gotycką, nad którą unosi się rozpięty na krzyżu Chrystus (dzieło rzeźbiarza Wojtowicza) prowadzi wchód do wnętrza nawy kościelnej, najdłuższej z kościołów lwowskich. Presbiteryum zamyka przepiękna absyda krużgankowa, oparta na 8 kolumnach z czerwonego marmuru.



Najwspanialsza świątynia we Lwowie: Dzwony nowego kościoła św. Elżbiety we Lwowie.

Ceremonii poświęcenia nowej świątyni dopełnił ks. arcybiskup Bilczewski przy licznym udziale duchowieństwa, poczem biskup Bandurski odprawił uroczystą sumę.

Jednocześnie z konsekracyą nowej świątyni odbył się chrzest trzech gotowych dzwonów, które ustawiono pod purpurowym nakryciem w środku nawy. Pierwszy z nich, największy, ochrzczony imieniem Jadwigi, został ufundowany przez polskie panie i ks. biskupa Bandurskiego, następne dwa (Józefa i Jakóba) ufundowali mieszczanie lwowscy.

Ceremonia konsekracyi świątyni i poświęcenia dzwonów odbyła się bardzo uroczyście, w obecności przedstawicieli władz i niemal wszystkich instytucyi lwowskich.



Najwspanialsza świątynia we Lwowie: Widok zewnętrzny nowego kościoła św. Elżbiety we Lwowie.



Pomnik Kościuszki w Krakowie: Figura pomnika, ustawiona prowizorycznie na dziedzińcu strażnicy miejskiej w Krakowie.



**Włoska wyprawa wojenna:** Wejście do pałacu gubernatora włoskiego w Trypolisie, kontradmirała Ricci.
(Do artykułu na str. 8).



**Rzezie w Chinach:** Dr. Sun-Jat-Sen, który stoi na czele obecnego ruchu rewolucyjnego w Chinach i został już obwołany przez powstańców prezydentem przyszłej republiki chińskiej.

# Pomnik Kościuszki w Krakowie.

Sprawa budowy pomnika Kościuszki w Krakowie ma już swą historyę i to dość długą. Pomnik, gotowy już w odlewie, przez czas dłuższy spoczywał ukryty w szopie na Podgórzu. Wreszcie dopiero teraz został przewieziony do Krakowa i stanął prowizorycznie na dziedzińcu strażnicy miejskiej, skąd, jest nadzieja, już rychło zostanie przeniesiony na właściwe miejsce, t. j. na Rynek krakowski.

Inicyatywę do budowy pomnika dał w r. 1894 na uroczystości kościuszkowskiej referent Tow. im. Tadeusza Kościuszki, p. Jan Swierzyński. Zawiązał się w tym celu specyalny komitet pod przewodnictwem ś. p. prezesa Jana Skirlińskiego. Kierownictwo techniczne budowy objął p. Jan Swierzyński.

Ś. p. prof. Leonard Marconi podjął się wykonać bezinteresownie projekt pomnika, co też uskutecznił w r. 1897, a wykończony model został ostatecznie przyjęty i przeznaczony do odlewu, który wykonano jednak dopiero przed rokiem w fabryce Dedrzeński i Ska w Podgórzu. W ubiegłą zaś niedzielę prowizorycznie zmontowano odlew na placu w koszarach straży pożarnej w Krakowie.




**Uroczystości salezyańskie:** Pomnik ś. p. ks. Andrzeja Knycza, założyciela zakładu wychowawczego ks. Salezyanów w Oświęcimiu.



**Włoska wyprawa wojenna:** Wielki wezyr, Said-basza, udający się na posiedzenie parlamentu tureckiego w Konstantynopolu.

QUILLER COUCH.

# SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacya z angielskiego.

7)

Gdy wujaszek nareszcie przestał perorować i podniósłszy się z krzesła oświadczył, że musi odjechać, żeby być obecnym przy śledztwie, matka — ku wielkiemu naszemu zdziwieniu — wyraziła życzenie udania się z nim do Polkimbra. Wuj, nie podejrzywając mateczki o straszną, wewnętrznie nią miotającą obawę, zaczął delikatnie z niej żartować, cytując ustępy z księgi Salomona o ułomnościach kobiecych — i to z takim nadmiarem szczegółów, że mimowoli zapytałem się w duchu, co powiedziałaby ciotka Loveday, gdyby mąż w obecności swojej połowicy, to jest kobiety o tak niemal męskim i silnym jak ona umyśle i charakterze, wdał się w podobnie drażliwą dyskusyę. Spostrzegłszy jednak, że matka moja upiera się przy swoim zamiarze, nie sprzeciwiał się dłużej i zaprosił ją do swego powoziku. Wtedy ja błagać zacząłem mamę o pozwolenie towarzyszenia jej w wycieczce, co także — jak mi się zdawało — zdziwiło ją mocno. Po krótko trwającej opozycyi, zgodziła się i ona, więc we troje ruszyliśmy w drogę do Polkimbra.

Gdyśmy zatrzymali się przed karczmą, ujrzeliśmy przed nią tłum już zgromadzony. Sędzia przybył i śledztwo rozpocząć się miało wkrótce. Oczekujący ludzie wyrażali o rozbiciu statku przeróżne przypuszczenia. Gdy spostrzegli wuja, który w podobnych okolicznościach uważany był za osobistość, posiadającą wysokie znaczenie, rozstąpili się natychmiast, aby go wraz z nami przepuścić do czerwonej izby, w której miało się odbyć badanie. Przechodząc przez korytarz, omało nie upadłem, tak mnie przeraził krzyk papugi, należącej do karczmarza; wrzeszczała ona: „Wszystko stracone! wszystko stracone! Niech Bóg zlituje się nad nami!“ Ten ostry krzyk brzmiał w moich uszach, gdy drzwi rozwarły się przed nami i znaleźliśmy się wobec trybunału.

Przypuszczam, że komnata, oddana na użytek sądu, była pełna.

W rzeczy samej, ponieważ każda sprawa wymaga współudziału dwunastu przysięgłych i sędziego, nie licząc świadków, prawdopodobnie zatem musiała być całkowicie zapełniona. Ja jednak, zaledwie próg przekroczyłem, widziałem tylko jedną twarz i jedną parę oczu, przejmujących mnie strachem i nieokreślonym jakimś bólem. On mnie także dostrzegł odrazu, lecz prócz płomiennego błysku w jego okrutnych źrenicach i prócz warg, które mu nagle zbielały i zacisnęły się szczelnie, nic nie świadczyło, aby zauważył moją obecność.

Gdyśmy weszli, przemawiał sędzia, lecz głos jego brzmiał dla mnie tak, jakby rozlegał się gdzieś daleko. Następnie zeznawał wuj Loveday, lecz z całego jego świadectwa, oraz zachowania się w sądzie, pozostało mi tylko w pamięci niejasne wrażenie mosiężnych guzików, iskrzących się w słońcu na jego surducie. Poczem wezwano Jonatana, strażnika wybrzeża. Widział on — albo zdawało mu się, że widzi — statek, przy tak zwanym brodzie Łaski, narażony na groźne niebezpieczeństwo, lecz okręt, pomimo to, ogni sygnałowych nie wywieszał wcale. Jednakże strażnik zawiadomił o tem stacyę w Lizard.

Wypuszczono w górę kilka rac i przeszukano wszystkie ściany nadbrzeżnych skał, aż do Porth Pyg, lecz nic nie znaleziono. Ludzie wysłani w celu poszukiwań, wracając dopiero spotkali nad zatoką Gotowych Pieniędzy marynarza — należącego prawdopodobnie do załogi rozbitego okrętu — w towarzystwie małego chłopczyka, który się zowie Kasper Trenoweth.

Usłyszawszy moje imię i nazwisko, wymówione obcym głosem, drgnąłem cały i już drugi raz, po naszem wejściu, uczułem oczy cudzoziemca zwracające się na mnie i jakby pytające mię o coś. Równocześnie uczułem także dłoń mateczki, ściskającą moją rękę nieco silniej. Zrozumiałem, że to spojrzenie nie uszło jej uwagi.

Powietrze w izbie stawało się coraz duszniejsze, a ściany jej zdawały się zbliżać ku sobie w miarę, jak Jonatan nieznośnie monotonnym głosem składał swe zeznania. Słońce ogromnym snopem ciepłych promieni wbiegało przez okno i zamieniało drzewem wyłożony pokój w piec rozpalony. Dla mnie oświecało tylko parę groźnych oczu. Rozmaite głosy donośnem echem rozlegały się z kolei jeden po drugim, lecz dolatywały do mnie, jakby słyszane w śnie ciężkim i obezwładniającym. Skrzypienie piór po papierze i tupot nóg wydawał mi się oddalonym szumem morza, aż do chwili, w której sędzia przywołał Giorgia Rodofani.

Teraz dopiero z męczącego rozdrażnienia nerwowego przebudziłem się odrazu. Uczułem raz jeszcze pytający wzrok cudzoziemca zwrócony na mnie. Znowu dłoń matki przycisnęła moją, gdy on powstał i najsłodszym raz najmuzykalniejszym głosem zaczął zeznawać.

Oto, jakiem było zeznanie Giorgia Rodofaniego, marynarza greckiego, przełożone z jego rodzimej mowy na język angielski przez Jakóba Ruzapolos, tłómacza przysięgłego z Penzance:

— Nazywam się Giorgio Rodofani. Jestem Grekiem z urodzenia i całe życie marynarzem. Byłem majtkiem na statku, który ostatniej nocy rozbił się przy waszem okropnem wybrzeżu. Okręt należał do portu w Bristolu, lecz nie pomnę ani miana, jakie nosił, ani nazwiska kapitana.

Ten dziwny wstęp, wypowiedziany śmiało, wywołał na wszystkich twarzach wyraz ogromnego zdziwienia. Mnie zaś po prostu oszołomiła czelność człowieka, który najnieprawdopodobniejszą treść swego zeznania ubrał w cudzoziemskie wyrazy, płynące gładko z ust, które tak niedawno przemawiały do mnie łatwą i harmonijną angielszczyzną.

Po chwili milczenia, zrozumiawszy zdziwienie i nieufność słuchaczów, swobodnie mówił dalej:

— Dziwicie się panowie, a nie zastanowiliście się, że ja, jako Grek, nie mogę zapamiętać i wymówić waszych nazwisk angielskich. W Colombo dostałem się na okręt, który dzisiejszej nocy uległ rozbiciu. Kapitan miał zdekompletowaną załogę, przyjął mnie zatem bardzo chętnie, nie zwracając uwagi na moją narodowość i nieznajomość waszej mowy. Już przedtem raz rozbiłem się około Jawy, na statku holenderskim, należącym do portu Dordrecht... i poszukując posady lub zajęcia, udałem się do Ceylonu. Nie jest więc rzeczą nadzwyczajną, że język angielski jest mi obcy... Pokażcie mi listę statków, kursujących do Indyi, a wskażę wam ten, o który chodzi.

Zaszeleściały papiery, poczem lista okrętów, odbywających stale drogę do Indyi, podaną mu została. Przerzucał w niej powoli kartkę po kartce i posuwał po nich palec. Nagle twarz mu się rozjaśniła.

— Oto ten — wskazał.

Sędzia wziął listę i przeczytał:

— „James i Elżbieta“ z Bristolu. Kapitan: Antonius Merydew.

— Tak, to ten — prawił dalej Rodofani. — Niemowlę na ląd wyrzucone było dzieckiem kapitana. Urodziło się w ciągu podróży. Załoga składała się z ośmnastu ludzi. Pasażer był jeden, jakiś mały Anglik, no i żona kapitana. Dziecko przyszło na świat na wybrzeżach Afryki. Wypłynęliśmy z Colombo dnia 22 lipca z ładunkiem kawy i cukru trzcinowego. Dwa dni temu opuściliśmy wielki port, którego nazwy nie pamiętam... lecz już o wczesnym ranku znaleźliśmy się wprost miejscowości, którą, o ile mi się zdaje, zowiecie Lizard. Wiatr południowo zachodni pchał nas ku waszej okropnej zatoce. Cały dzień pracowaliśmy, żeby do tego nie dopuścić. Pod wieczór zerwała się burza. Już wówczas, gdyśmy się zatrzymali czas jakiś w zatoce Biskajskiej, kapitan zachorował obłożnie. Nie wywieszaliśmy sygnałów, bo nie wiedzieliśmy co robić: kapitan chory, a jego zastępca pijany. Ten ostatni zaczął coś krzyczeć dopiero wtedy, gdyśmy tonęli. Sam jeden wdrapałem się na przecznicę, podtrzymującą przedni trójkątny żagiel i stamtąd skoczyłem do morza. Nie wiem, co się stało z innymi. Co do mnie, jak powiedziałem, skoczyłem i dopłynąłem do skały, pod którą znaleźliście mnie dziś rano. Słyszałem, że majtkowie krzyczeli, ile tylko tchu starczyło im w piersiach, lecz silniejszym od ich krzyku był głos wrzeszczącego zastępcy kapitana. Kapitan, ze względu na ubezwładniającą go chorobę, leżał w swojej kabinie. Gdy go widziałem po raz ostatni, była przy nim żona z dzieckiem, lecz może być, że w ostatniej chwili wybiegła na pokład. Gdy walczyłem z falami, dwa razy woda zalewała mnie całkowicie, lecz pomimo to nie poddałem się rozwścieczonemu żywiołowi i dopłynąłem do skał. O świcie przekonałem się, że mam przed sobą ląd stały, więc już niemal bez trudności dotarłem do wybrzeża.

W miarę opowiadania, pozbawionego wszelkiego ładu i ciągłości myślowej, nie wiem doprawdy, kogo ono zaciekawiało najbardziej. Przysięgli, jakby czarowani słodkim głosem opowiadającego, pomimo, że pojąć nie mogli tajemniczego powodu nagłego zniknięcia statku, widocznie nie ochranianego przez załogę, słuchali z wielkiem zajęciem tak Rodofaniego — chociaż go nie rozumieli — jak i tłómacza. Pochyleni na krzesłach, wyciągali szyje, zapierając dech w piersiach, aby nie uronić ani jednego słowa.

Matka moja nie mogła oderwać wzroku od cudzoziemca. Gdy wahał się, wybierając ze spisu nazwę okrętu, podniosła się z siedzenia. Wargi jej od zaniepokojenia i oczekiwania zbladły jak kreda. Dopiero, gdy sędzia przeczytał „James i Elżbieta“, upadła na krzesło i szepnęła:

— Dzięki Bogu!

Te dwa wyrazy, a raczej sposób, w jaki je wymówiła, ujawnił mi przyczynę jej lęku, oraz dał poznać, jak ogromną była dręcząca ją obawa. Ja zaś sam nie zdawałem sobie należycie sprawy, czy wszystko dobrze słyszałem, oraz co mam myśleć o całej historyi. Wiedziałem, że część opowiedzianej bajeczki była kłamstwem, lecz nie wiedziałem, w jakim stopniu i mierze. Co zaliczyć należało do prawdy, a co do zmyślenia? Zwłaszcza, że bałamuciło mnie zapewnienie Johna, iż statek, który się rozbił, a na którym on płynął, nosi miano „Maryi Joanny“.

Obejrzałem się w około.

Po ostatnich słowach, wyrzeczonych przez Rodofaniego, zapanowało w izbie zupełne milczenie.

Nawet sędzia czuł się widocznie zachwianym w swojem przekonaniu. Pomimo, że zeznanie wydawało się bezwzględnie nieprawdopodobnem, nie było nikogo, chcącego mu zaprzeczyć. Ja jeden — lecz nikt się tego nie domyślał — mógłbym go oskarżyć o zbrodnię i kłamstwo. Ba! ale na mnie nikt przecie nie zwracał uwagi.

Sędzia, jakby już tylko czyniąc zadość formalnemu obowiązkowi, zadał jeszcze obwinionemu parę pytań, poczem streścił historyę i przebieg sprawy. W czasie tego uległem powtórnie sennej bezwładności umysłowej, przyczem pierwotna obojętność owładnęła całem mojem jestestwem. Przysięgli wydali wyrok uwalniający od odpowiedzialności, przypisując rozbicie okrętu i zagładę znacznej liczby ludzi nieszczęśliwemu, chociaż niedostatecznie wyjaśnionemu zbiegowi okoliczności.

W chwili, gdy mateczka wyprowadzała mnie z izby, usłyszałem jednego z przysięgłych, Józefa Roscortę, wygłaszającego w sposób nie dość jasny, lecz sobie właściwy, wyłączną i własną opinię o całem zajściu.

— Niech dyabli porwą wszystkich cudzoziemców! Ja ich nigdy nie mogę zrozumieć!

Gdy zaś drzwi zamykały się za nami, zasłaniając przedemną przenikliwe, groźne i okrutne oczy cudzoziemca, rozległ się znowu ostry krzyk papugi karczmarza, wołającej: „Wszystko stracone! wszystko stracone! Boże ulituj się nad nami!“

## ROZDZIAŁ VI.

**W którym ukazuje się nam w oknie twarz okropna, oraz dowiadujemy się, w jaki sposób i w jakim stanie ojciec mój wrócił do domu.**

Wróciliśmy z matką do Lantrig drogą, wijącą się nad skałami. Milczeliśmy oboje. Pragnąłem z głębi duszy opowiedzieć jej całą historyę i przekonać, że to, co mówiłem o „Maryi Joannie“, nie było zmyśleniem, lecz strach krępował mnie jeszcze. Mateczka zaś zajętą była własnemi myślami. Nie wątpiłem, że zauważyła spojrzenie, jakiem cudzoziemiec starał się porozumieć ze mną. Domyślała się, że opowiadanie jego było kłamliwe, i że ja wiedziałem o tem. Czego jednak prawdopodobnie odgadnąć nie mogła, to obydwu zamykającej mi usta, jakby na kłódkę. Więc oboje z pochylonemi głowami, pełnemi gorzkich myśli, zdążaliśmy powoli do Lantrig.

W czasie wieczerzy nic nie zmieniło się w usposobieniu naszem. Wszelki pokarm wydawał mi się wstrętny. Chociaż przymuszałem się do jedzenia, cała moja kolacya, prawie nietknięta, zeszła ze stołu. Lecz gdy rozniecilismy ogień na kominku i zapaliliśmy świece, a ja przysunąłem dla siebie taburet do nóg mateczki, siedzącej na fotelu, znana dobrze komnata wydała mi się tak miła i ciepła, że strach, jakim byłem przejęty, rozwiał się nagle w dobroczynnej atmosferze starego dworu. Położyłem sobie gruby tom „Wycieczki pielgrzyma“ na kolanach i zacząłem, nie wiem już który raz w życiu, przerzucać w nim kartki od początku do końca powieści o Chrześcijaninie i Apollyonie. Jakaś nowa otucha wstępowała w serce i pokonywała w niem obawę ranną.

Czytałem:

„Boju takiego nikt wyobrazić sobie nie może, chyba, że jak ja patrzał nań i słyszał okropny ryk Apollyona w ciągu walki. Miał on głos podobny do głosu smoka. Nikt również nie wyobrazi sobie westchnień i lamentów, wydobywających się z piersi Chrześcijanina. Nie dostrzegłem w oczach jego radości, dopóki nie zobaczył, że zranił Apollyona

swym mieczem o podwójnem ostrzu. Wówczas dopiero ujrzałem uśmiech na jego ustach. A był to widok najstraszniejszy, jaki widzieć mi się zdarzyło kiedykolwiek".

Na pół zdecydowany do wyznania wszystkiego, podniosłem oczy na mateczkę. Pochyliła postać swoją naprzód i wpatrywała się w płomień, złocący łagodnem światłem jej twarz bladą i prześliczne oczy. Pomnę wybornie, jak wydawała mi się wówczas dobrą i zarazem jak bardzo zmęczoną. Kształtna jej kibić, głowa i ramiona rzucały cień na ścianę lekko zaróżowioną od ognia. Serce tłukło się w jej łonie niewypowiedzianą tęsknotą za tym, który nie wracał. Nie rozumiałem tego wtedy należycie, bo dzieci nawet najintelligentniejsze i najbardziej rozwinięte, nie są w stanie pojąć cierpień dojrzałego wieku.

Przerzuciłem znowu parę kartek w książce i na jedną spojrzałem przypadkiem. Przeczytałem na niej:

„Wówczas Chrześcijanin zaczął się bać i zadał sobie pytanie: czy ma się cofnąć, czy też utrzymać grunt zdobyty. Lecz zastanowił się, że zbroja jego nie zasłania mu pleców, więc gdy się odwróci, nieprzyjaciel może z tego skorzystać i przeszyć go swoimi grotami. Postanowił zatem stawić mu czoło".

Zadumałem się. Słowa, które wypowiedział mój Apollyon, tylko już może nieco przez dziecinną pamięć przeobrażone i zmienione, stanęły mi na myśli: „Przychodzę niekiedy, gdy leżą w łóżku, niekiedy zaś czaję się za ich plecami".

A gdybym się poradził?!

Lecz co to jest?!

To była łza, spadająca na moją rękę, leżącą na kolanach matki. Od dnia, w którym ojciec wyjechał, nie widziałem jej płaczącej. Czyżby roniła łzy z powodu mego kłamstwa?

Podniosłem znowu oczy w górę i dostrzegłem w jej źrenicach ogrom bólu i zmartwienia, więc zapomniałem nagle o wszystkich moich obawach i zwątpieniach. Pragnąłem mówić i powiedzieć jej wszystko.

— Mateczko!

Zawstydzona nieco, że spostrzegłem jej smutek, otarła szybko oczy i starała się uśmiechnąć jakimś biednym, nieszczęśliwym uśmiechem, który przywołał na drżące wargi zaledwie dostrzedz się dający promyk sztucznej, przymuszonej wesołości.

— O co ci chodzi, Kasperku?

— Czy Apollyon żyje?

— Jest on, mój synu, symbolem całej potęgi zła na świecie, a potęga taka bywa wiecznie żywą.

— Nie szło mi o to, mateczko. Chciałbym wiedzieć, czy on, jak zwykły człowiek stąpa po naszej ziemi? Czy rzeczywiście żyje jeszcze?

— Ależ nie, Kasperku! Skąd podobne głupstwo przyszło ci do głowy?

— Bo, kochana mamo, ja go dziś spotkałem. Powiedział mi sam, że jest Apollyonem i że przyjdzie mnie porwać, jeśli...

Gdy to mówiłem, nieco poniekąd przerażony moją śmiałością, spojrzałem wokoło siebie. W pierwszej chwili wzrok mój nie napotkał nic innego, prócz dobrze mi znanych mebli i sprzętów, oraz cieni dwu postaci — mamy i mojej — poruszających się na ścianie w miarę naszych poruszeń. Wtem zwróciłem oczy na okno. Zatrzymały się one na niem i oderwać się od niego nie mogły. Równocześnie uczułem, że serce w piersi skurczyło mi się i ścisnęło od strachu, a język w ustach zatrzymał się i skołowaciał, jakby tknięty paraliżem.

Nagłe załamanie się mego głosu sprawiło, że matka spojrzała na mnie. Widząc unieruchomione moje źrenice, utkwione w jeden punkt, oraz wargi kurczowo wykrzywione, zwróciła także wzrok swój na okno. Poczem zerwała się na równe nogi i krzyknęła przeraźliwie.

Bo przez okno, uśmiechając się szyderczo i okrutnie, patrzał na nas majtek Rodofani o śniadem i bladem licu.

W ciągu paru sekund, skamieniali ze strachu i wstrętu, przyglądaliśmy mu się oboje.

Uśmiech jego trwał długi moment, odkrywając w czerwonych jak krew ustach białe zęby i paląc się w głębokich, wilczych oczach dyabelskim płomieniem złości i nienawiści. Następnie przemienił się w głośny, grozą przejmujący chichot... i rozpłynął się wreszcie w cieniach wieczora.

Więc mówił prawdę, gdy przyrzekał, że będzie mnie nawiedzać. Gdyby nie śmiertelna trwoga, nie doznawałbym z tego powodu wielkiego zdziwienia. Uważałem za rzecz zupełnie naturalną, że powraca, bo wszakże zagroził, że pojawiać się ma od czasu do czasu. Tylko opanowała mnie straszna obawa na myśl, że mścić się będzie niezawodnie. Czułem się do najwyższego stopnia zaniepokojony skutkami mojej nierozwagi i zuchwalstwa. Instyktownie obróciłem się ku matce, aby oddać się pod jej opiekę i obronę.

Lecz...

Co się z nią stało?

Z ustami wykrzywionemi i rozwartemi upadła na fotel, z którego zerwała się przed chwilą i patrzyła dalej wciąż w okno, które mniej więcej minutę temu tworzyło ramę do ohydnej twarzy. Gdy przemówiła nareszcie, z warg jej posypały się wyrazy, pozbawione wszelkiego sensu i znaczenia. Wymawiała je, wybuchając jakimś śmiechem szyderczym, napełniającym moje serce okropnym niepokojem i bolesnem, na wskroś mnie przejmującem strapieniem.

— Mamo! już go niema? Powiedz, co ci jest?

Znowu wyszeptała kilka słów bez związku i znowu zaniosła się dziwnym, wstrząsającym nerwami śmiechem.

Powtarzało się to dalej w ciągu całej, okropnej nocy — dla mnie już drugiej bezsennej. Szeptała i śmiała się naprzemian, gdy przerażony i pozbawiony wszelkiej pomocy, usiłowałem ją uspokoić i przywołać do zdrowych zmysłów. Czas wlókł się nieznośnie długo. Klęcząc przed nią, oczekiwałem na wschód słońca z gorączkową niecierpliwością. Zegar wydzwaniał godzinę po godzinie, a stan jej nie zmieniał się ani na jotę. Nie odzyskiwała przytomności wcale. Myszy, jak zwykle, wychodziły ze swych kryjówek, lecz przestraszone jej śmiechem, cofały się do nich napowrót. Ogień zgasł i zgasły świece. Na dworze wiatr jęczał i zawodził żałośnie; gałęzie tamaryszu uderzały o szyby. Cisza nocna, przerywana tylko kiedy niekiedy właściwym sobie tajemniczym jakimś pomrukiem lub szelestem, zapanowała wszechwładnie w domu i za domem. Ona zaś ciągle patrząc w okno, szeptała zmienionym głosem słowa, w których nie było śladu jej dawnych myśli. Nareszcie blady brzask rozświetlił nieco pokój, a po nim powoli... powoli zajrzał i dzień przez okna, lecz chmurny jakiś i smutny. Zastał nas w tym samym stanie, w jaki nas pogrążył okropny wczór i bardziej jeszcze przerażający złośliwy uśmiech zbrodniarza.

Wraz z dniem odzyskałem nieco odwagi. Gdybyśmy w Lantrig mieli sąsiadów, dawnobym ich wezwał na pomoc, lecz Polkimbra była najbliższą nas miejscowością zaludnioną, a oddaloną o dwie mile od naszego domu. Nadto, żeby dojść do niej, trzeba było przebyć drogę, na której czyhać mogły nowe niebezpieczeństwa i na której spotkałbym się może znowu z człowiekiem o twarzy dyabelskiej. A przytem, jakżebym na noc mógł pozostawić matkę samą! Lecz teraz, gdy się rozwidniło, postanowiłem udać się do Lizard i poprosić wuja Loveday, aby nas odwiedził. Wdziałem trzewiki, zaryglowałem boczne wejście, rzuciłem okiem na nieprzytomną mateczkę, ciągle siedzącą w swoim fotelu — i wybiegłem. Odgłos jej bezmyślnego śmiechu dolociał uszu moich, gdy zamykałem główne drzwi starannie.

Osłabiony, tocząc w około błędnemi, bo zmęczonemi bezsennością oczami, ruszyłem żwawo górną drogą ponad skałami, potykając się ciągle na kamieniach i głazach, których nieraz w czas nie spostrzegałem. Poniżej mnie skałę Umarłego otulała jeszcze zasłona z mgły. Gęste chmury nadciągały od strony morza. Szare światło wczesnego ranka nadawało niebu, ziemi i morzu ton bladawy, jakby obłokami z góry przyćmiony. Ja jednak, nie zważając na to, pędziłem z całych sił ku Polkimbrze.

Dotarłszy wreszcie do osady, będącej raczej wsią, niż miasteczkiem, zbiegłem z pagórka i zapukałem do drzwi znanej mi karczmy. Boże! jakże długo czekać musiałem na znak, świadczący o niezamarłem w niej życiu. Nareszcie w oknie pierwszego piętra ukazała się głowa oberżystki. Zamieniwszy kilka słów z panią Busvargus, zacną kobietą, która natychmiast zaczęła się ubierać, łącząc ubieranie z mnóstwem czułych wykrzykników, pognałem znowu dalej drogą, wijącą się między piaszczystemi wzgórzami, wzdłuż brzegów morza, aż do Lizard. Siły mnie opuszczały, kręciło się w głowie, żebra bolały, nogi odmawiały posłuszeństwa, a tysiąc drobnych iskierek tańczyło mi w oczach. Jednakże znużenie mnie nie pokonało, chwiejąc się i potykając, lecz wciąż pędząc naprzód, znalazłem się nareszcie przed domem wujaszka.

Tam upadłem zemdlony, lecz na szczęście przed drzwiami i tak, że w kilka minut potem doznałem wrażenia, że ciotka Elżbieta pochyliła się nademną i patrząc na leżącego u jej nóg malca, jak na zbrodniarza, przyłapanego na gorącym uczynku popełnionej zbrodni, zawołała:

— No, no! co to znaczy?!... Ależ to Kasper! Wcale nie mądry żart, obudzić nas niespodzianie, waląc w drzwi całą swoją osobą. Co ci się, dziecko, stało? Co ci jest Kasper?

Bez ładu i związku, lecz pospiesznie, opowiedziałem całą historyę: naprzód ciotce, potem wujowi, przywołanemu przez żonę. I on i ona czas jakiś milczeli, pogrążeni w pełnem podziwu zamyśleniu.

Oboje nie byli ani wykwintnie, ani nawet przyzwoicie ubrani. Ciotkę Elżbietę, co prawda, osłaniała olbrzymia peleryna z Inwerness, która mogłaby również służyć wujowi, gdyby nie wydała mi się zaduża na tak małego, jak on, człowieka. Tylko czepek nocny był ostentacyjnie cioci wyłączną własnością. Żadna inna kobieta nie odważyłaby się włożyć go na głowę. Kostyum wuja był niemniej szczególny. Po raz pierwszy ujrzałem wujaszka bez guzików mosiężnych i po raz pierwszy zrozumiałem, jak wiele zawdzięczał tej niepowszedniej ornamentacyi. Po dość długiem zastanowienieniu się, zagadał nareszcie.

— Mam nadzieję, Kasper, że mówisz prawdę. Matka twoja opowiadała mi wczoraj nieprawdopodobną historyę o jakiejś „Annie Maryi", czy też o innym statku, o którym coś bajałeś. Chcę wierzyć, że dzisiejsza relacya nie jest nowem zmyśleniem, bo przecież nieraz ci już mówiłem, co czeka małych chłopców, którzy kłamią.

Blada i smutna twarz moja musiała być gwarancyą mojej prawdomówności, bo ciotka przerwała wujowi potok jego wymowy jednem słowem:

— Śniadanie!

I popchnęła mnie ku drzwiom wchodowym. Oboje tymczasem poszli się ubierać.

Czekając w małym saloniku na parterze, posłyszałem tentent kopyt kuca, wyprowadzonego ze stajni i zatrzymującego się przed domem. W tejże chwili weszła ciotka Elżbieta, już w zwykłym ubiorze, żeby popędzić małą pokojówkę, zajmującą się zbyt powolnie przygotowaniem śniadania. Czy wuj je spożył, nie wiem po dziś dzień, bo wtedy właśnie, gdy je przygotowywano, ujrzałem go żwawo wsiadającego do karyolki i oddalającego się w kierunku Lantrig. Ciotka zaś powiedziała, że wyjść mi nie pozwoli, dopóki się czemś nie posilę. Wprawdzie byłem bardzo zgnębiony i smutny, lecz nie śmiałem dać dowodu nieposłuszeństwa, więc zabrałem się do śniadania, zwłaszcza, że mi już głód dokuczał srodze.

Zaledwie jeść zacząłem, gdy otworzyły się drzwi od saloniku i wszedł mały Tomasz Loveday.

Tomcio, liczył wówczas około ośmiu wiosen. Ponieważ nie miał własnego rodzinnego domu, więc rezydował stale u mego wuja, który był jego stryjem. Pierwsze lata swego żywota spędził w Indyach. Gdy ojciec jego i matka zmarli w Madras, wysłano go do Anglii, do Lizard, gdzie zakorzenił się na dobre. Dotąd istnienie jego było jednym, długim snem, kiedy niekiedy tylko przerywanym czuwaniem. Ile razy, w czasie rzadkich wizyt, oddawanych mi w Lantrig, wysyłano nas obu — jak to zwykle mówią ludzie starsi — „bawić się razem", tyle razy Tomasz, według niezmiennej reguły, kładł się spać w pierwszem lepszem miejscu do przespania się odpowiedniem. To też obecność jego nigdy nie sprawiała mi kłopotu.

Był to ładny chłopiec o oczach niebieskich, długich rzęsach i wijących się w loki włosach. Miał przytem głos miły i dźwięczny. Gdy go później poznałem bliżej i lepiej, oceniłem należycie jego bystry umysł i wrodzony mu czar subtelnych uczuć, ukryty pod manierami rozleniwionego próżniaka. Lecz wtedy dusza Tomasza Loveday jeszcze spała.

Gdy wszedł do saloniku, nie był widocznie jeszcze zupełnie rozbudzony. Ujrzawszy mnie, skinął sennie głową na przywitanie i nie okazując wcale zdziwienia z powodu mojego tak wczesnego pojawienia się w Lizard, zabrał się do jedzenia. Od czasu do czasu, gdy ciotka zadawała mi jakieś nowe pytanie, spoglądał na nią dość długo, nie dając przytem żadnego innego znaku życia. Widocznie to jego przyglądanie się zniecierpliwiło ciotkę, bo rzekła:

— Tomciu, nie patrz na mnie!

Tomasz spojrzał na nią znowu ze zdziwieniem i spytał:

— Dlaczego?

— Czy mu się zdaje, że jestem dziką Indyanką?

Zapytanie zwrócone było do mnie, lecz ja nie wiedząc, co mam odpowiedzieć, milczałem. Tomasz wyprowadził mnie z kłopotu, sam bowiem odparł:

— Nie.

— Zatem dlaczego mi się tak przyglądasz. Daję słowo, że nie zdaję sobie sprawy nieraz z czego się składa mózg małego chłopca?

— Z ciała ślimaków i psich ogonów — szepnął sennym głosem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Minister wojny rekrutem.

Armia austryacka może się obecnie poszczycić nielada nabytkiem. Jest nim marokkański minister wojny, wprawdzie tylko *in spe*, w każdym jednak razie nie lada osobistość.

W październiku b. r. zgłosił się do odbycia obowiązkowej służby wojskowej w jednym z austryackich pułków, pochodzący z Moraw rekrut, Franciszek Czerny, który pełnił obowiązki ministra wojny przy boku pretendenta do tronu marokkańskiego, Mulaya Zinna.

Czerny jest z zawodu elektrotechnikiem. W r. 1909 był on zajęty jako drugi maszynista na jednym z parowców transportowych, służących do przewozu wojska hiszpańskiego z Kadyksu do Melilli. Przebywając często na ziemi afrykańskiej, wszedł w stosunki z krajowcami, poznał także ówczesnego prezydenta Bu Hamara, który nakłonił go do objęcia dowództwa nad małym oddziałkiem Kabylów.

Czerny, poczuwszy w sobie animusz wojenny, porzucił swe dotychczasowe rzemiosło i z niewinnego elektrotechnika przedzierzgnął się w srogiego i krwi chciwego wojownika...

Z początku jakoś mu się nie wiodło, dostał się bowiem do niewoli i nie wiele brakowało, aby swój awans przypłacił głową, udało mu się jednak wywinąć z matni i wydostać na wolność. Marokkańczycy, oceniając jego militarne zdolności, powołali go teraz na instruktora armii Mulay Hafida, lecz i tutaj długo miejsca nie zagrzał, ale przeszedł na stronę pretendenta do tronu Mulaya Zinna, który od razu zamianował go ministrem wojny, naturalnie na wypadek, jeśli uda mu się zdobyć tron i panowanie.



**Obrońcy Trypolisu:** Wymarsz wojsk tureckich przed bombardowaniem Trypolisu.

Nie udało się, Czerny wobec tego pozostał tylko ministrem wojny nominatem, a obecnie, bez względu na poprzednie wysokie stanowisko, zgłosił się w swej ojczyźnie i jako prosty szeregowiec zaliczony został w poczet cesarskiej i królewskiej armii, gdzie dość długo będzie musiał czekać na awans na... gefreitra!...

Tak to los obchodzi się z ludźmi po macoszemu, raz się do nich uśmiecha, to znowu odwraca się tyłem!...

# Obrońcy Trypolisu.

Jakkolwiek sprzeczne są wciąż wiadomości z „placu boju" w Trypolisie, gdzie dotychczas, jak się zdaje, najkrwawsze stacza bitwy i najświetniesze odnosi zwycięstwa... fantazya korespondentów wojennych, — nie ulega wątpliwości, że wyprawa włoska, o ile zacznie urzeczywistniać proklamowaną okupacyę Trypolisu i rozpocznie kampanię w głębi kraju — spotka się tam z silnym oporem i będzie miała trudniejszy, niż włoskie koła wojskowe przypuszczały, orzech do zgryzienia. Przedewszystkiem garnizon turecki Trypolitanii, choć niezbyt liczny i nie świetnie uzbrojony, nie myśli bynajmniej o kapitulacyi, jak to źródła włoskie z tryumfem już obwieściły. Przeciwnie, regularne wojska tureckie, które wobec bezcelowości oporu w miastach portowych, ustąpiły prawie bez strat (niektóre oddziały jeszcze przed bombardowaniem) w głąb kraju, przygotowują się do zaciętej walki, i miały już nawet ufortyfikować się w przesmykach górskich. Do garnizonu trypolitańskiego pospieszyło również wielu oficerów sztabowych z Turcyi europejskiej, którym udało się dotrzeć do miejsca przeznaczenia przez Egipt.

Wszystko to świadczy, że oddziały regularnego wojska tureckiego w Trypolisie, choć prawie bez walki ustąpiły z miast nadbrzeżnych przed morderczym ogniem pancerników włoskich, w bitwach lądowych mogą zgotować Włochom niejedną przykrą niespodziankę. Największe jednak niebezpieczeństwo dla wyprawy włoskiej stanowią niewątpliwie miejscowe szczepy beduińskie i Kabylowie, plemiona bitne, zuchwałe, a do walki zaprawione od dziecka. Zwłaszcza beduini, ci „żeglarze pustyni" stanowią nieregularną, lecz trudną do zwalczenia armię. Już sam tryb zajęć i warunki życia stwarzają z nich nieustraszonych bojowników. Zajmują się oni hodowlą trzody i... łupiestwem. Życie samotne w ciągłych wędrówkach po pustyni i rozbój, wyrobiły u nich nie tylko lekceważenie niebezpieczeństw, ale niezwykłą wstrzęmięźliwość, która pozwala znosić im trudy, którychby nie wytrzymał żaden Eu



**Obrońcy Trypolisu:** Beduin na wielbłądzie.



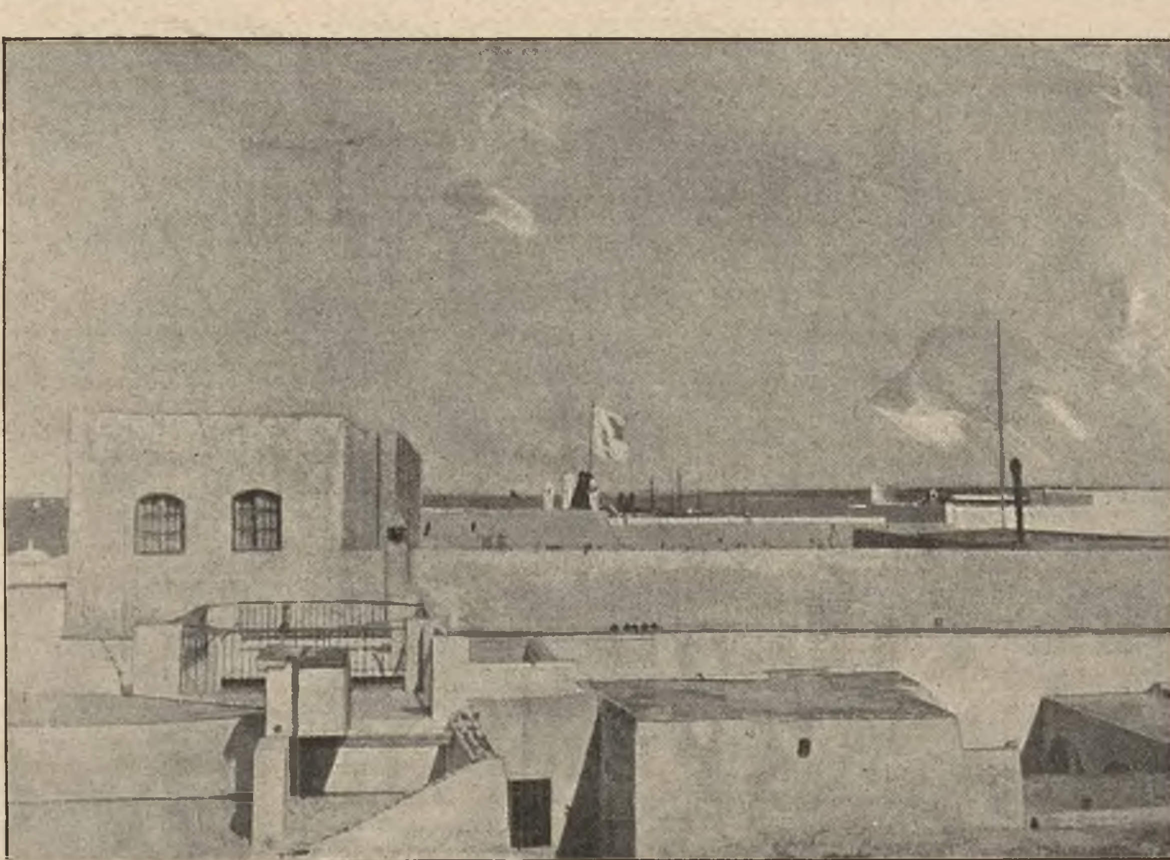
**Minister wojny rekrutem:** Rekrut austryacki Franciszek Czerny, były minister wojny sultana marokkańskiego.

ropejczyk. Jest to przytem szczep, ceniący fanatycznie swą niezależność i swobodę, i gotowy zawsze walczyć w jej obronie do ostatniej kropli krwi.

To też według zgodnych wiadomości z Trypolisu, Beduini chwycili już za broń i mieli proklamować „świętą wojnę“, która cały świat muzułmański Afryki północnej zmobilizowałaby do zaciętej walki z armią włoską. Proklamowanie „wojny świętej“ potwierdzają wiadomości z Egiptu, skąd znaczne zastępy Beduinów — pomimo zakazu władz angielskich — miały przekroczyć granicę i udać się w sukurs Trypolitańczykom...

Władze angielskie w Egipcie wydały wprawdzie rozporządzenie, zakazujące miejscowej ludności wspieranie w jakikolwiek sposób Trypolitańczyków w walce z Włochami, lecz łatwiej jest wydać zakaz, niż go przeprowadzić w praktyce. Nie ulega też wątpliwości, że ludność muzułmańska Egiptu, który nominalnie znajduje się pod zwierzchnictwem sułtana, nie omieszka przemycać broni i amunicyi do Trypolisu i w ten sposób, choćby nie wzięła czynnego udziału w wojnie, ułatwić beduińskim szczepom trypolitańskim walkę z armią włoską, przez uzbrojenie ich oraz dostarczenie amunicyi i żywności. Trypolis nie jest więc bezbronny wobec najazdu włoskiego. Oprócz regularnych wojsk tureckich staną do boju daleko liczniejsze zastępy Beduinów, odważnych aż do zuchwałości i umiejących znosić, jak nikt inny, wszelkie trudy wojenne...

Illustracye nasze przedstawiają właśnie tych wojowniczych obrońców Trypolisu oraz oddział regularnych wojsk tureckich, w chwili wymarszu ze stolicy Trypolisu w głąb kraju.



**Włoska wyprawa wojenna:** Zatknięcie sztandaru włoskiego w Dernie.

## Oryginalna winda osobowa.

Jedną z gór, należących do łańcucha Masa, czyli Mojżeszowych, jest oddalona od Jerozolimy o ośmnaście mil słynna góra Synaj. Leży ona na półwyspie tego samego nazwiska, tworzonym przez dwie odnogi morza Czerwonego. Tutaj, według podania Pisma św., miał Bóg objawić Mojżeszowi swój zakon i dać mu dziesięcioro przykazań.

Na szczycie góry zbudował cesarz Justynian istniejący do dnia dzisiejszego klasztor z kościołem świętej Katarzyny. Z czasem powstało obok kilka innych, mniejszych, odwiedzanych bardzo licznie przez pobożnych i rzesze turystów, których tu nigdy nie brakuje.

Z doliny prowadzi na szczyt góry do bramy klasztornej wijąca się wężowato ścieżka, bardzo trudna do przebycia i dość niebezpieczna, gdyż znajdująca się bezpośrednio na brzegu przepaści. Kto sobie jednak chce oszczędzić trudów, czasu i drogi, może się dostać do klasztoru w inny sposób, mianowicie przy pomocy bardzo prymitywnej windy osobowej, umieszczonej z boku klasztornych murów. Nie przypomina ona niczem wygodnych *liftów*, w jakie zaopatrzone są europejskie budynki, oddaje jednak te same, co i one usługi.

Jest to po prostu zwykła zupełnie lina, przeciągnięta przez blok. W pętli na jednym jej końcu lokuje się podróżny, za drugi koniec ciągną obsługujący windę i w kilka minut jest się u otworu w murze, którędy można się dostać na podwórze klasztorne.

Nie jest to wcale zbyt wygodna podróż, w każdym razie dość romantyczna. Na sprawienie postępowszego urządzenia potrzebaby pieniędzy, a tymi klasztor nie rozporządza. Wobec tego dawne, prymitywne urządzenie utrzymuje się nadal i jest bardzo często w użyciu.



**Oryginalna winda osobowa:** Wciąganie podróżnych do klasztoru na górze Synaj przy pomocy prymitywnej windy.

## Włoska wyprawa wojenna.

Jak się okazuje, włoskie tryumfy z powodu łatwych zwycięstw na wybrzeżu trypolitańskiem, były w każdym razie przedwczesne. Włoscy korespondenci już dawno obwieścili światu, że jednocześnie z zajęciem stolicy kraju, Trypolisu, opanowano całe wybrzeże i zdobyto inne forty, jak Benghasi i Dernę... Tymczasem te dwa portowe miasta, lepiej ufortyfikowane od Trypolisu, przez czas dłuższy stawiały zacięty opór, wytrzymując kilkodniowe bombardowanie. I dopiero w ostatnich dniach Włochom udało się je opanować i wysadzić tam armię lądową, która musiała jednak stoczyć zaciętą



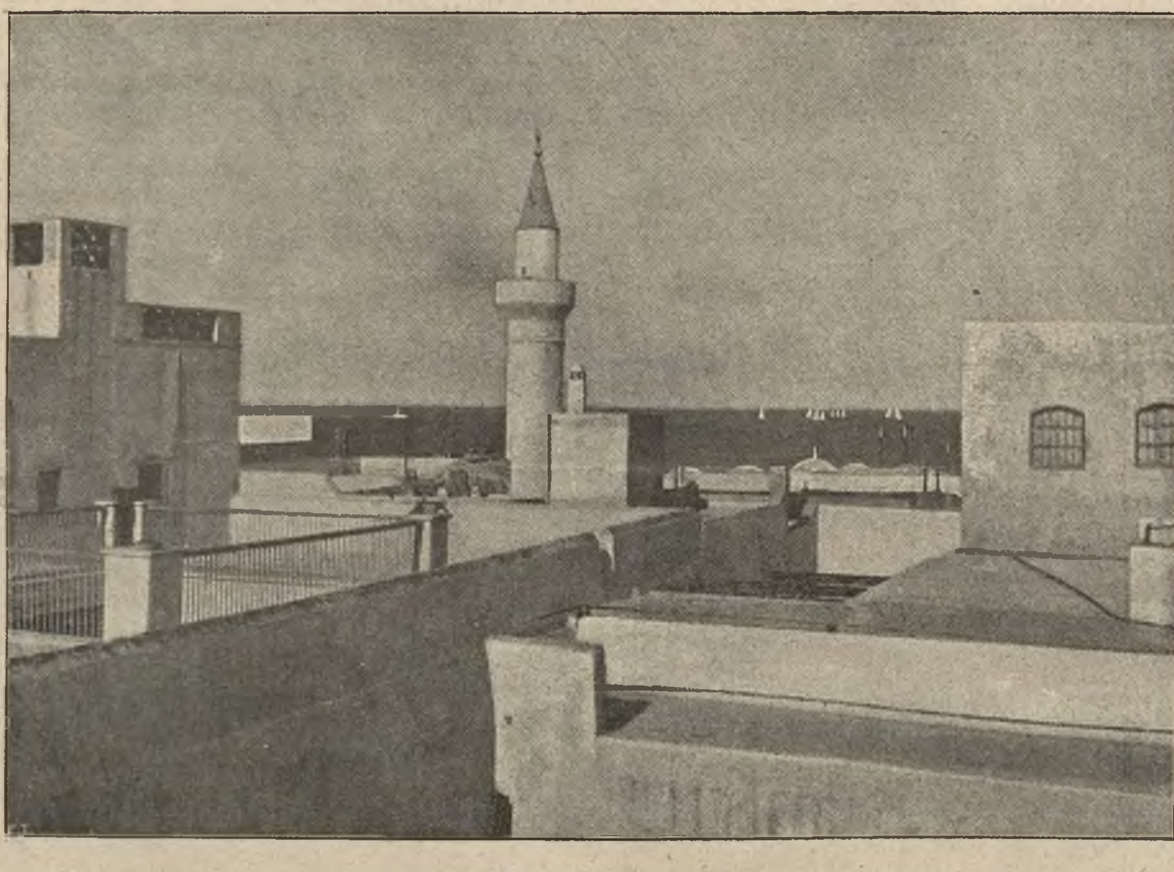
**Obrońcy Trypolisu:** Grupa Beduinów w Benghazi.

walkę z wojskiem tureckiem i Arabami. Zwłaszcza z Derną mieli Włosi wiele kłopotu. Kilkakrotne próby wylądowania udaremniał tam bądź ogień turecki, bądź burza. Wreszcie gdy wysadzono w Dernie pierwsze oddziały wojska — Turcy przywitali je silnym ogniem i dopiero po stoczeniu walki lądowej Włochom udało się ostatecznie opanować Dernę i zatknąć tam sztandar włoski. Mieli przytem ponieść straty dość znaczne. Choćby jednakże wiadomości korespondentów pism tureckich, donoszące o setkach zabitych i rannych Włochów — były taką samą przesadą, jak doniesienia włoskie o klęskach Turków — można stwierdzić, że nawet zdobycie wybrzeża trypolitańskiego i jego fortów nie przyszło znowu Włochom tak łatwo, jak to usiłują przedstawić źródła włoskie.

Ale dopiero teraz zaczyna się właściwa kampanja wojenna. Naturalnie, w wąskim pasie nadbrzeżnym, osłoniętym linią ognia pancerników — Włosi będą zawsze panami położenia. Gdy jednak zechcą posunąć się w głąb kraju — bez czego cała okupacya Trypolisu byłaby fikcyą — walka będzie o wiele trudniejszą. Pustynny kraj, brak żywności i wody, stwarzają dla armii europejskiej niezmiernie uciążliwe warunki. Jedynie arabskie, tubylcze, plemiona, umiejące przeżywić się byle czem, daktylami czy nawet szarańczą, mogą znosić bez szkody tego rodzaju trudy i walczyć w tak ciężkich, prawie niemożliwych dla Europejczyka warunkach...



**Włoska wyprawa wojenna:** Wylądowanie wojsk włoskich w porcie trypolitańskim.



**Włoska wyprawa wojenna:** Widok na morze z włoskiego konsulatu w Trypolisie.

To też fachowe głosy wojskowe nie podzielają bynajmniej optymizmu Włochów i przewidują, że kampania włoska w Trypolisie może potrwać lata całe — zanim Włosi zdołaliby rzeczywiście cały kraj opanować. Liczy się z tym faktem i rząd włoski, który ma znów zwrócić się do Turcyi z „ultimatum" i zażądać dobrowolnego ustąpienia Trypolisu, naturalnie za cenę różnych „ustępstw" na rzecz państwa ottomańskiego.

Jednem z tych „ustępstw" ma być zagwarantowanie całości Turcyi europejskiej. Gdyby jednakże Turcya tej „łaski" za cenę dobrowolnego ustąpienia Trypolisu nie przyjęła — Włochy mają ponowić swą akcyę zaczepną u wybrzeży półwyspu Bałkańskiego...

Wątpliwą jest jednak rzeczą, czy rząd turecki zgodzi się na to „dobrodziejstwo" i odda dobrowolnie Trypolis za... obietnicę, że podobny najazd nie powtórzy się przynajmniej w europejskich posiadłościach Turcyi. Po otwarciu parlamentu tureckiego i w rządowych kołach konstantynopolitańskich zapanował nastrój bardziej wojowniczy. To też wszystko przemawia za tem, że Turcya, o ile naturalnie inne mocarstwa, pragnące również upiec swą pieczeń przy ogniu trypolitańskim, nie ostudzą tych zapałów wojennych — postanowiła bronić Trypolisu i podjąć walkę z Włochami.

Również i Włochy szykują się do długotrwałej kampanii w Trypolisie, śląc tam dzień za dniem nowe oddziały korpusu okupacyjnego. Że nie lekceważą bynajmniej przeciwnika, świadczy fakt, iż najlepsze swe wojska wysłały na plac boju, gdzie przybyli już t. zw. bersaglierzy, bataliony celnych strzelców, ustanowione w r. 1836 w wojsku sardyńskiem przez generała Lamarmora.

Jedna z ilustracyi naszych przedstawia właśnie oddział tych najlepszych strzelców włoskich w linii bojowej.

## Zaślubiny w cesarskim domu.

W dniu 21 października b. r. odbyły się na zamku w Schwarzau weselne gody przyszłego dziedzica tronu Habsburgów, arcyksięcia Karola Franciszka Józefa z księżniczką Zytą Parmeńską.

Na uroczystość zaślubin przybył osobiście sędziwy monarcha, zjechali prawie wszyscy arcyksiążęta i wielu przedstawicieli spokrewnionych domów panujących, między nimi król saski. Jako specyalny delegat Ojca świętego zjawił się papieski majordomus, monsignore Bisletti, któremu towarzyli monsignor Respighi i uditore wiedeńskiej nuncyatury. Wręczył on młodej parze dar Papieża, mianowicie wizerunek Zbawiciela we wspaniałych drogocennych ramach, wysadzanych szlachetnymi kamieniami i ozdobionych herbami papieskimi i arcyksięcia.

Ceremonii kościelnej dopełnił w kaplicy zamkowej z polecenia Papieża msgr. Bisletti w asystencyi wuja pana młodego, profesora teologii księcia Maksymiliana Saskiego. Mała kapliczka zaroiła się od dostojnych gości, podwórze zamkowe zapełniła ludność okoliczna, pomiędzy którą przyszła cesarzowa Austryi potrafiła sobie zjednać niekłamaną życzliwość i sympatyę.

Honorowe miejsce w kaplicy zajęli obydwoje nowożeńcy, nieopodal nich cesarz Franciszek Józef, król saski, arcyksiążę Franciszek Ferdynand z mał-



**Zaślubiny w cesarskim domu:** Młoda para w otoczeniu najbliższej rodziny. Od strony prawej ku lewej: ks. Zyta, arc. Karol Franciszek Józef, cesarz Franciszek Józef, matka pana młodego arc. Marya Józefa, arc. Franciszek Ferdynand, matka narzeczonej ks. Marya Antonina.



**Zaślubiny w cesarskim domu:** Nowożeńcy na balkonie w czasie hołdu ludności.

żonką, inni arcyksiążęta i arcyksiężniczki, członkowie domów panujących i dyplomaci. Podczas nabożeństwa służyli do mszy św. dwaj młodzi arcyksiążęta parmeńscy. Przysięgę ślubną składali nowożeńcy w języku francuskim, celebrans, rodowity Włoch, nie włada bowiem językiem niemieckim.

Po mszy św. wygłosił msgr. Bisletti długą przemowę do nowożeńców, składając im w imieniu Ojca świętego najgorętsze życzenia. Na zakończenie udzielił zebranym apostolskiego błogosławieństwa.

Z kaplicy przeszli nowożeńcy wraz z gośćmi do komnat zamkowych, gdzie o godzinie pierwszej popołudniu odbyło się śniadanie, podczas którego cesarz Franciszek Józef wzniósł nader serdeczny toast na cześć państwa młodych.

Wzruszającą była chwila, gdy młoda para ukazała się na balkonie zamkowym, a tłumnie zebrana publiczność powitała ją gromkimi okrzykami, świadczącymi dosadnie o sympatyi, jaką cieszą się obydwoje nowożeńcy w najszerszych warstwach społeczeństwa. Nadeszły też życzenia pomyślności ze wszystkich stron monarchii i z poza jej granic.



**Chiński Bismarck:** Juan-Szi-Kaj, mianowany obecnie wicekrólem zbuntowanych prowincyi.

Po śniadaniu odbył cesarz Franciszek Józef cercle, poczem pożegnał się i automobilem odjechał do St. Aegidi, stąd zaś osobnym pociągiem do Wiednia. Młoda para opuściła zamek o trzeciej godzinie po południu i udała się do Wartholz koło Reichenau. Bezpośrednio po ceremonii wysłał arcyksiążę-nowożeniec depeszę do Ojca św. zawiadamiającą o dokonanym ślubie i wyrażającą podziękowanie za błogosławieństwo i podarunek.

# Chiński Bismarck.

Rewolucya chińska, która obecnie przybrała niebywałe w państwie Niebieskiem rozmiary, wysunęła znowu na pierwszy plan zapomnianego w ostatnich czasach, lecz niewątpliwie najwybitniejszego męża Chin współczesnych — Juan Szi Kaia, którego rząd znów powołał do władzy, mianując wicekrólem zbuntowanych prowincyi.

Juan-Szi kai jest stosunkowo młodym człowiekiem, liczy bowiem 53 lat, zdołał jednak już odegrać wybitną rolę w dziejach państwa Niebieskiego. Od lat 30 zajmował on najwyższe stanowiska w hierarchii państwowej i dał się poznać jako wytrawny polityk, skłaniający się do liberalnych, europejskich poglądów. Niemniej w r. 1858 odegrał on bardzo dwuznaczną rolę, zdradziwszy cesarza Kuanghsu, który zamierzał dokonać w państwie radykalnych reform. Był to okres walki pomiędzy młodym cesarzem a cesarzową-wdową Tsuhsi, która usiłowała znów ująć rządy w swe ręce. Juan-szi-kaj niespodzianie stanął po stronie cesarzowej-wdowy, wraz z którą dokonał zamachu stanu: cesarza pozbawiono władzy i internowano w samotnym pałacu.

W dwa lata później Juan-Szi Kaj odegrał wybitną rolę w czasie rozruchów bokserskich w Szantungu, gdzie był wicekrólem, zdoławszy stłumić rewolucyę i ułagodzić obce mocarstwa, przeciw którym ruch ten był zwrócony. Odtąd zaczęły spadać na Juan Szi Kaja coraz wyższe urzędy i zaszczyty. W roku 1903 został po słynnym Lichungczangu wicekrólem Czili, a w r. 1907 szefem rady Wajwupu, czyli ministrem spraw zagranicznych. Wreszcie nadszedł czas jego upadku. W r. 1908 nastąpiła tajemnicza, niewyjaśniona do dziś dnia jednoczesna śmierć cesarza i cesarzowej-wdowy. Na tron wstąpiło dziecko, a regencyę objął jego ojciec, ks. Czen. Nowy regent, brat b. cesarza, nie zapomniał zdrady Juan-Szi-Kaja z przed 10 laty. Już na początku 1909 roku pozbawił wszystkich urzędów tego męża stanu, który opuścił Pekin i osiadł w rodzinnem mieście Honan.

I do tego czasu żył Juan Szi-kai w zapomnieniu, pozbawiony wszelkiego wpływu na bieg spraw państwowych. Aż dopiero obecna fala rewolucyjna, zagrażająca stolicy państwa, powołała go do władzy. Dwór chiński, przerażony potęgą wybuchu rewolucyjnego, znów przypomniał sobie o Juan Szi-kaiu i jego powołał do ratowania dynastyi i rządu chińskiego.



**Włoska wyprawa wojenna:** Strzelcy włoscy (bersaglieri) w linii bojowej.

KAMIL PERT

# Dramat w domu obłąkanych

14 Powieść.

— Dobrześ zrobił! — odparł doktor zgorączkowany.

Poczem podszedł do niezamkniętej na klucz biblioteki i otworzył ją.

Panował w niej zwykły nieład. Na kilku półkach nagromadzone były książki, przeważnie w złym stanie, podarte i poplamione; na innych stały flaszki i pudełka, z różnymi przetworami farmaceutycznymi. Znajdowały się między nimi trzy paczki waty salicylowej. Jedna była nienaruszona, druga niemal całkowicie rozdarta, trzecia zaś ledwie odpieczętowana.

Doktor pochwycił ostatnią i pomacał ją z niepokojem.

Poczem zadowolony, uśmiechnął się jakimś gorzkim uśmiechem, rzucił paczkę na półkę, zamknął oba skrzydła drzwiczek od szafy i usiadł w szerokim fotelu, obitym skórą.

— Daj mi fajkę! — zawołał.

Jakób, który bacznie przyglądał się wszystkim poruszeniom doktora i uśmiechał się niepewnie, czy dwuznacznie, spełnił szybko rozkaz swego pana. W chwili zaś, gdy ten napychał fajkę tytoniem, usiadł przy nim poufale na zydelku..

— Co czytałeś? — spytał doktor, patrząc na młodego człowieka znużonemi oczami, w których malowała się szczera życzliwość dla chłopca. Ten napół idyota, prawie dziecko, był jedyną istotą w domu, którą lubił i do której się przywiązał.

Jakóbek, z właściwem sobie wahaniem przy wymawianiu wyrazów, odpowiedział:

— „Wicehrabiego de Bragelonne“.

Doktor uśmiechnął się:

— A co w nim zrozumiałeś, mój biedny chłopcze?

Jakóbek znaczną część czasu spędzał na czytaniu felietonowych romansów, zapełniających bibliotekę byłego lekarza okrętowego. W rzeczy samej można było zapytać, jaką ograniczony jego umysł odnosi korzyść z tego czytania i czem w istocie jest ów umysł, o niespodzianych błyskach intelligencyi, gasnących nagle w mrokach, których przyczyn nie można było odgadnąć.

Idyota nie odpowiedział na pytanie, którego może nie dosłyszał, tak był zajęty myślą własną.

Poczem, po chwili, rzekł naiwnie:

— Wszakże król sam wybiera sobie pierwszego ministra, nieprawdaż?

Doktor uśmiechnął się:

— To zależy... Król, według dawnej mody, tak.

— A więc! — oświadczył Jakóbek, podnosząc oczy na doktora — gdy będę królem, pana zrobię moim pierwszym ministrem. Rządzić będziesz wszystkiem, jak zechcesz.

Doktor zapalił fajkę.

— Dziękuję ci, mój drogi, za pierwszeństwo... Lecz chciej wiedzieć, że nie chodzi mi wcale o odegranie roli Sully'ego, albo kardynała Richelieu.

— Tak! tak! — mówił Jakóbek z naciskiem. — Będziesz pan moim ministrem i rządzić musisz!

— A powiedz-że mi, z łaski swojej, w jakim kraju?

Wyraz tajemniczości przesunął się jak cień po twarzy idyoty.

— Cicho! sza! Powiem to panu później!... Teraz jeszcze nie można o tem mówić...

— A! Widzę, że nie otrzymałeś dotąd nominacyi... więc i ja zaczekać muszę. To dobrze! mnie się nie spieszy.

Młody człowiek przysunął się bliżej do doktora i z oczami, jakby nurzającemi się w próżni, z twarzą skurczoną nagle przez wysiłek myśli, rzekł powoli:

— Czy pan nie wie, dlaczego chcę być królem?

— Daję słowo, że nie wiem! Powiem ci nadto, że jak na dzisiejsze czasy, nie jest to stanowisko do pozazdroszczenia...

Jakóbek tymczasem, pogrążony w swoich rojeniach, ciągnął dalej:

— Bo, gdy będę królem, ona wyjdzie za mnie!

Doktor wypuścił z ust olbrzymi kłąb dymu.

— Kto ona?... Anna Austryacka, czy pani de Montsoreau? — rzekł obojętnie, wiedział bowiem, że to są dwie ulubione bohaterki Jakóba.

Promyk intelligencyi i namiętności przebił nagle zasłonę mglistą, pokrywającą zwykle oczy idyoty. Głosem, również zmienionym, energicznym, poważniejszym, bardziej męskim, wymówił:

— Nie! nie!... ona!... pani Manescault!

Doktor drgnął i zdziwionym wzrokiem spojrzał na chłopca.

— Masz tobie! — szepnął do siebie niezadowolony, z szczerem współczuciem — u tego nieszczęśliwego dziecka gotowe teraz przemówić zmysły!

Jakóbek tymczasem potwierdzał gorączkowo to, co już powiedział:

— Teraz, kiedy on umarł... wyjdzie za mnie... gdy zostanę królem...

Doktor niemal gwałtownym ruchem położył rękę na ramieniu idyoty.

— Słuchaj mnie, Jakóbie! — rzekł z silnym naciskiem — nie trzeba myśleć teraz o podobnych głupstwach!... Czy słyszysz?... Pani Manescault nie może być żoną takiego jak ty biedaka!... Nie wyjdzie za ciebie nigdy! Nie powinieneś myśleć o niej!

Fala krwi nabiegła do bladej twarzy młodzieńca i zaczerwieniła ją ponsem ognistym. Oczy jego zapałały obłędem. Zacisnął zęby i zgrzytnął nimi gniewnie. Powstał z zydelka i ponury, rozzłoszczony, wyjąkał z uporem:

— Będzie moją żoną!... Nie odmówi, gdy zostanę królem.

Poczem lica jego wypogodziły się nagle, zaczął nucić i przestawiać meble w pokoju według swojej fantazyi. Zdawało się, że zapomniał zupełnie o myślach, które przed chwilą mózg jego zaprzątały.

Jintot patrzył na niego ze smutkiem, myśląc:

— Oto biedny chłopak, który prawdopodobnie życie zakończy w celi dla furyatów... Aż do przebudzenia się zmysłowych instynktów, był słodki, miły, dający się powodować... Obecnie staje się bydlęciem, a może nawet dzikiem zwierzęciem... Należy zwracać na niego pilną uwagę, gotów bowiem pewnego dnia rzucić się na doktorową... Wyniknęłyby stąd nowe przykre historye...

Poczem znużony wyczerpującą go pracą w szpitalu, wracając myślą do własnych kłopotów, poruszył się niespokojnie na fotelu.

— Byleby przedtem mimowoli nie wyrządził jeszcze jakiej krzywdy.

* * *

Codziennie, po obiedzie, część służby w domu obłąkanych, nie przydzielona specyalnie do nadzoru chorych, miała dwie godziny wolne od zajęć. Wszyscy spieszyli z nich korzystać. Nie zdziwiło zatem nikogo, że nowo przyjęci: Marya (nosząca w rzeczywistości imię Heleny) i Eugeniusz, zaraz po zjedzeniu obiadu, wymknęli się żwawo z zakładu. Ale towarzysze ich i towarzyszki zdziwiłyby się niezawodnie, gdyby ujrzały naszą parę w dziesięć minut później, schodzącą się przed drzwiami urzędu policyjnego w Villeneuve i wkraczającą do biura rezolutnie, z miną osób, które czują się u siebie.

Guillaume czekał na nich w swoim gabinecie.

— Nic nowego? — zapytał.

— To zależy, panie komisarzu — odparł Eugeniusz.

I zaczął składać raport.

Żeby znaleźć coś podejrzanego, przeszukał napróżno nietylko całe pomieszkanie doktora Jintota, ale również pokój jego służącego i wiernego sprzymierzeńca. Napróżno także próbował dowiedzieć się czegoś od tego ostatniego, zyskał tylko przy swych zabiegach niegrzeczną odprawę ze strony pana asystenta. Jednakże mniema, że istnieje jakaś tajemnica, łącząca doktora Jintota z Jakóbem, która wprawia lekarza w ciągły niepokój i każe mu czuwać pilnie nad młodym idyotą.

Wkońcu doszedł do wniosku, że:

— Doktor jest ogromnie kuty, nie sposób zatem wyciągnąć z niego jakiegokolwiekbądź wyznania, więc przedewszystkiem wybadać należy chłopca, ale tego on sam załatwić nie zdoła.

Guillaume kręcił głową. Przypomniał sobie podobne zdanie dozorcy Maurycego Berthaut i daną przez niego radę, aby do indagowania idyoty użyć pani Manescault. Zadowolnił się więc krótką odpowiedzią:

— Zobaczymy!

Poczem zwrócił wzrok na pseudo-pokojówkę i wezwał ją do mówienia z kolei.

Była to kobieta, licząca około lat trzydziestu, uchodzić mogąca za ładną, gdyby nie pewne skrzywienie twarzy, które — zwłaszcza, gdy się na nią patrzyło z profilu — szpeciło ją mocno. Patrząc na swego towarzysza, uśmiechnęła się pogardliwie i rzekła krótko, zwięźle i stanowczo:

— Pan Marceli Robertin przygotowuje się do ucieczki.

Komisarz podskoczył na krześle.

— Pan Robertin?

Ona potwierdziła:

— Tak. Niezawodnie.

— A pani Manescault?

— Nic nie wie o jego zamiarze.

— Czy panna jesteś tego pewną?

Wydobyła papier z kieszeni.

— Oto dowód.

— Co to jest?

— Kopia listu do siostry. Przed wyjazdem prawdopodobnie pozostawi go pan Marceli w jej pokoju.

Guillaume pochwycił papier i szybko przeczytał co następuje:

„Moja droga Julko!

Wyjeżdżam, bo przewiduję, że wkrótce będę aresztowany, a tym razem lękam się, że nie zdołam się usprawiedliwić. Tobie, ukochana siostrzyczko, która byłaś dla mnie drugą matką, przysięgam na wszystko, co oboje mamy najświętszego, że jestem niewinny. Padam ofiarą fatalności, albo ohydnej jakiejś zmowy, nie wiem jednak, czy jednej czy drugiej, bo mi głowa pęka od rozmaitych przypuszczeń. Nie mogę ci wyznać nic więcej, otoczeni bowiem jesteśmy szpiegami, a nie chcę narazić się na zwiększenie przygniatającego mnie zbyt silnie ciężaru. Nie mogę również zawiadomić cię, dokąd się udaję. Wolno mi tylko powtórzyć raz jeszcze: jestem niewinny. Chciej w to wierzyć tak, jak wierzysz w własną niewinność. Myśl o twoim nieszczęśliwym bracie i kochaj go zawsze, cokolwiekbądź się stanie.

Marceli“.

Guillaume zapytał żwawo:

— Wyjeżdża, czy chce popełnić samobójstwo?

Młoda kobieta poruszyła głową.

— Odjeżdża, proszę pana. Od trzech dni, przyjaciel jego, pan Ludwik Marsol, prawdopodobnie zawiadomiony o tym zamiarze, wynosi skrycie z domu ubrania i bieliznę pana Robertina. Nadto, pan Marceli zmienił banknot na tysiąc franków, co świadczy, że potrzebuje drobniejszych pieniędzy, pięć zaś takich samych, jak zmieniony, umieścił w pugilaresie, który w dzień nie opuszcza ani na chwilę bocznej kieszeni jego tużurka. W nocy zaś kładzie go pod poduszkę.

— Czy widziałaś panna całą zawartość pugilaresu?

— Tak, panie komisarzu. Wydobyłam go z pod poduszki, gdy młody człowiek spał. Skopiowawszy wszystko, co się w nim znajdowało, wsunęłam napowrót tak, że tego nie czuł.

— Musi mieć ciężki sen?

— Nie, panie. To ja chodzę cicho i mam lekką rękę.

— Czy posiadasz panna listę tego, co znalazłaś w pugilaresie?

— Służę panu. Znajdzie pan na niej numera banknotów... List, pisany do pani Manescault, już pan przeczytał... Nadto znalazłam fotografię siostry i jakiegoś starszego pana. Przypuszczam, że to portret jego ojca. Zawinięty był w prospekt Towarzystwa Transatlantyckiego... Na prospekcie nakreślił ołówkiem kilka cyfr, które dodawał... Przepisałam je także...

— Wybornie! — zawołał Guillaume. — Prospekt dowodzi, że młodzieniec pragnie zmykać morzem, a nie ulega wątpliwości, że dodawane cyfry wyobrażają ceny biletów na kolei, oraz na statku... Zbadawszy je pilnie, znajdziemy w nich prawdopodobnie ścisłą wskazówkę dokąd udać się zamierza.

— O, proszę pana! ja się już tego domyśliłam. Dziś rano pan Marceli wertował słownik geograficzny i zatrzymał się dłużej nad artykułem, poświęconym Ameryce środkowej, studyując z szczególniejszą uwagą opis miasta Colon w Rzeczypospolitej Panamskiej.

Guillaume z zadowoleniem przytakiwał pochylaniem głowy.

— Doskonale!... Wiemy już zatem, gdzie przebywać pragnie. Nie dopuścimy go jednak do wyjazdu... Czy myślisz, że ucieczka jego ma nastąpić natychmiast?

— Przejrzałam w dziennikach rozkład jazdy kolejowej i morskiej. Statek z Saint Nazaire do Colon, odpływa pojutrze wieczorem. Przypuszczam zatem, że pan Marceli zechce opuścić zakład w nocy, z jutra na pojutrze. Już w przeszłym tygodniu udawał ból głowy i cały dzień nie pozwolił wchodzić do swego pokoju. Prawdopodobnie ucieknie się do tegoż samego środka, co, jak mniema, wystarczy, aby zrana i w ciągu popołudnia nie spostrzeżono, że go już niema.

Guillaume zastanowił się chwilkę.

— Jeśli zechce wyjechać w ciągu przyszłej nocy, to pójdzie naprzód do parku poszukać pudełka, które zakopał... A może nawet spróbuje jeszcze dziś wieczór... Tam do licha!... Nie mamy czasu do stracenia!...

Gdy zbliżał się do telefonu, pokojówka, uśmiechając się, zatrzymała go za ramię.

— Niema pan potrzeby telefonować! Już uprzedziłam tych panów... Telefonowałam do pana Deverrier w południe. Przyjedzie za godzinę z dwoma ajentami bezpieczeństwa publicznego i wstąpi po pana, aby razem udać się do zakładu.

Guillaume ukłonił się zachwycony.

— Panno Heleno, jesteś nieocenioną!

Odpowiedziała na to tonem nieco rozgoryczonym:

— Zarabiam na chleb, jak umiem i mogę najlepiej... nie zawsze jednak bywam należycie wynagradzaną...

Poczem, po chwili, dodała zmienionym tonem:

— Pozwolę sobie udzielić jednej rady. Miejcie panowie panią Manescault za sobą, to bowiem jest jedyna osoba, przy pomocy której będzie można rozjaśnić niezmiernie ciemną i zagmatwaną sprawę, bo dla mnie przynajmniej jest widocznem, że pan Marceli Robertin ma wspólników.

Guillaume odpowiedział:

— Jakże panna chce, abyśmy jej użyli przeciw bratu!... Jeśli nawet nie wie nic o jego winie, to przecież musi się jej domyślać!

— Nie wie nic i nic się nie domyśla! — oświadczyła stanowczo panna Helena. — Obserwowałam ją bacznie i mogłabym powiedzieć nieledwie, co o każdej chwili dzieje się w jej sercu... Nie śni się jej nawet podejrzywać brata! Wierzy głęboko, że dozorcy Sempuis i Berthaut popełnili morderstwo. Co najwyżej przypuściłaby może, że doktor Jintot jest ich wspólnikiem.

— Wierzę ci, panno Heleno — rzekł Guillaume — lecz pomimo to, nie wiem doprawdy, w jaki sposób biedna kobieta mogłaby nam być pomocną i jak się wziąć do tego, aby ją skłonić do wydania brata w ręce nasze.

Ajentka tłómaczyła:

— Przekonana jestem, że pani Manescault pokłada taką ufność w panu Marcelim, że zgodzi się chętnie wybadać go sama. Błagać będzie brata, aby jej wyznał całą prawdę... On zaś nie przypuści nawet, że zeznań jego wysłucha sędzia śledczy, gdzieś obok ukryty...

Komisarz złapał się za głowę.

— Jakto? Chciałabyś...

— Zaproponować pani Manescault, aby zastawiła sidła na brata... tak!... zapewniając ją równocześnie, że my sami wierzymy w jego niewinność, lecz oskarżamy, bo oskarżają go okoliczności; że dla niego to jedyny środek obrony i przekonania o swej niewinności... Zaręczam panu, że po takiem przedstawieniu stanu rzeczy, zgodzi się niezawodnie, a pan Marceli, sądząc, że jest sam z siostrą wygada wszystko, co tylko ma na sumieniu...

Komisarz wahał się, nie zachwycony pomysłem.

— Powiem pani, że taki wybieg...

Panna Helena uśmiechnęła się ironicznie.

— Co?... Miałżebyś pan skrupuły?... Nie wiedziałam, że pan komisarz ma tak czułe serce!

Guillaume wyznał bez fałszywego wstydu:

— Mam życzliwość dla tej młodej kobiety. Gdy sama była posądzoną, oddała mi się w opiekę, prosząc o obronę... więc mówię szczerze, że przykroby mi było sprawić jej tak straszną boleść i narażać na wieczne wyrzuty za przyczynienie się do zguby brata podstępem zeznań z ust jej nieszczęśliwego brata...

Ajentka wzruszyła ramionami.

— Ba! z chwilą, gdy uczucie wchodzi w grę...

— Nazwij to panna sentymentalizmem, słabością, niedołęstwem, głupotą..... nie zaprzeczę! — rzekł urzędnik policyjny — lecz powtarzam, że proponowany wybieg nie podoba mi się wcale, sądzę bowiem, że dojść możemy do tego samego rezultatu inną drogą. Robertin, pochwycony na gorącym uczynku odkopywania skarbu, popada stanowczo w moc naszą i najniezawodniej sam wszystko wyśpiewa.

Ajent Eugeniusz, który dotąd nie mieszał się do rozmowy i słuchał w milczeniu sprzeczki swego naczelnika z koleżanką, zbliżył się teraz i rzekł:

— Przepraszam pana komisarza, lecz zdaje mi się, że młody człowiek nie zjawi się dziś w nocy przy skrytce, którą wykopał w parku pod grotą.

Guillaume zwrócił się do niego szybko.

— Dlaczego tak myślisz? Przecież to zupełnie logiczne następstwo jego czynu, a zarazem i zamiaru opuszczenia rodzinnego kraju. Pan Robertin nie wydali się stąd przecie, pozostawiając w ziemi milion franków, którego nie mógłby już nigdy wydostać w przyszłości.

— Raz jeszcze przepraszam pana komisarza — przemówił znowu ajent tonem poważnym — lecz mniemam, że pan Robertin już zrewidował skrytkę i wie, że obecnie nie zawiera w sobie papierów wartościowych.

Guillaume i panna Helena krzyknęli niemal razem:

— Tam do dyabła!

— To być nie może!

Komisarz zapytał żwawo:

— Czy masz na to dowody, a przynajmniej jakieś wskazówki?



— Nie panie! To ja chodzę cicho i mam lekką rękę!...

— Jedyną mam tylko, lecz wcale znaczącą. Buty pana Marcelego, które czyściłem dziś rano, nabite były na podeszwach błotem w taki sposób, jakby nimi udeptywał świeżo rozkopaną ziemię.

Guillaume gniewnie uderzył pięścią w stół.

— Masz tobie!... Tracimy dowód najpewniejszy... Jakże mogłeś być tak głupim, aby mu pozwolić wyjść w nocy?... Dlaczego wreszcie nie pobiegłeś za nim?

— O! proszę pana komisarza, zapewniam najsolenniej, że pan Robertin nie wychodził w nocy.

— W takim razie, kiedy?

— Przypuszczam, że rano.. koło dziesiątej.

— W jasny dzień? Prawie w oczach całego personalu zakładowego!... Byłoby to nadzwyczajnem zuchwalstwem!

— Niezawodnie!... Lecz czując się pilnowanym szczególnie w nocy, zaryzykował wszystko dla wszystkiego. Faktem jest, że w dzień mógł być widziany; narażał się jednak stokroć mniej, bo był pewnym, że nie będzie śledzonym.

— Więc nie widziałeś go, jak szedł do parku?... To niepojęte!

Eugeniusz, uradowany, że może przyciąć towarzyszce zręczniejszej i szczęśliwszej od niego, odparł:

— Obowiązkiem moim w ciągu dnia było pilnować doktora Jintot, więc do panny Heleny należał nadzór nad domem i panem Marcelim.

Ajentka, widocznie dotknięta przymówką, odpowiedziała:

— Nie można być wszędzie na raz!

Guillaume, markotny i rozdrażniony, zastanawiał się głębiej nad dostarczonemi mu wiadomościami.

— Tak, to widoczne!... Chciał zabrać akcye. Spostrzegł, że pudełko wypróżnione i zrozumiał, że zastawiono na niego pułapkę!... Dlatego też pisze w swoim liście, że w razie aresztowania, trudno mu będzie usprawiedliwić się z zarzutów.

Zatrzymał się nachmurzony, z wyrazem surowości na twarzy; zamyślił na chwilę, potem, decydując się nagle, wypowiedział, co następuje, ostrym tonem:

— Niema rady!... Musimy zgodzić się na środek panny Heleny... i postarać się o współudział pani Manescault w odkryciu prawdy... chociaż... zadamy jej tem cios okrutny!...

Panna Helena rzekła żwawo:

— Proszę pana, przed minutą przyszła mi myśl do głowy, która środek, przezemnie przedstawiony, uczyni panu mniej przykrym.

— Co panna przez to rozumiesz?

— Oto sądzę, że trzeba będzie cel nasz wyjawić pani Manescault szczerze i bez ogródek. Wówczas, jeśli się zgodzi, to już z pełną świadomością wszystkiego, co uczynić będzie zmuszona... my zaś nie oszukamy jej i nie podejdziemy podstępnie!

— To niemożliwe!... Nie zgodzi się!...

Panna Helena upierała się przy swojem zdaniu.

— Przepraszam... Jestem swego pewną.

— Nie pojmuję cię, panno Heleno, zupełnie!... Chcesz powiedzieć młodej kobiecie: „Pani, przekonani jesteśmy o winie jej brata; mamy na nią dowody, lecz potrzebujemy, aby się sam do niej przyznał. Wypytaj go zatem w chwili, gdy siedzieć będziecie we dwoje bez świadków, i wyrwij mu z piersi zeznanie kompromitujące go stanowczo, które my zaprotokołujemy". Czy jest na świecie siostra, krewna, a choćby tylko przyjaciółka, któraby się podjęła takiej roli! Przypuścić coś podobnego, jest po prostu niedorzecznością!

— Ręczę panu, że zezwolenie siostry otrzymać można... To zależy od sposobu, w jaki się jej rzecz przedstawi.

— Czy chcesz panna podjąć się tej misyi?

— Ależ tak... niezawodnie!

Guillaume, z widocznem rozdrażnieniem nerwowem, wzruszył ramionami.

— W takim razie, proszę spróbować! Ja zaś umywam od tego ręce. Ale, ale, musisz się zapewnić, że pani Manescault nie uprzedzi brata i nie sprawi, że ptaszek z rąk nam się wymknie.

— Może pan być pewny, że o tem nie zapomnę — odparła panna Helena.

W tej chwili, w otwierających się na rozścież drzwiach biura, ukazał się sekretarz komisaryatu.

— Panie komisarzu... pan sędzia śledczy przyjechał!

Deverrier wszedł w towarzystwie dwóch ajentów bezpieczeństwa publicznego.

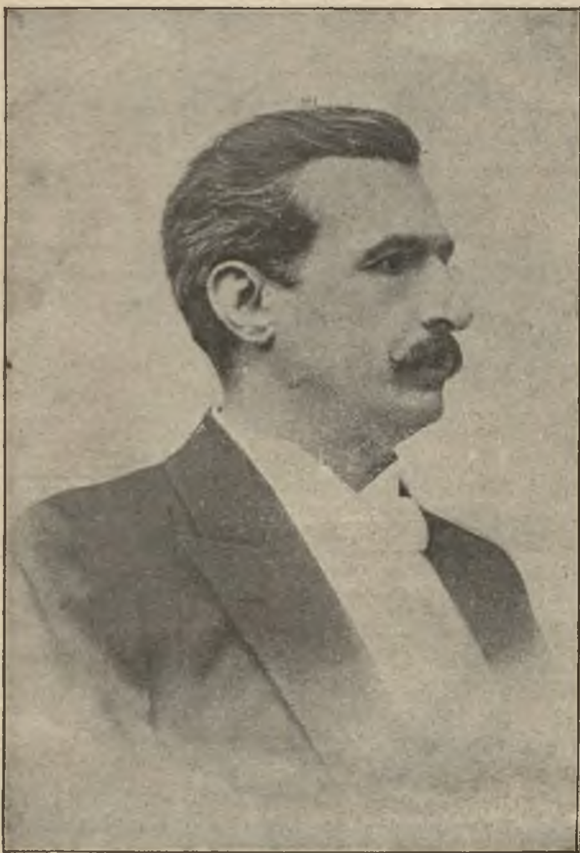
— A więc! — rzekł zgorączkowany. — Zdaje się, że tym razem nareszcie, dobijamy już do brzegu!

Guillaume machnął ręką.

— Ach, panie sędzio! W tej przeklętej sprawie człowiek nie jest nigdy pewny swego!... Ale oto jak się rzeczy mają.

I szybko, z niepospolitą zwięzłością, charakteryzującą wszystkie jego raporty, zaznajomił sędziego z nieznajomymi mu jeszcze faktami. Poczem, na niedługo trwającej konferencyi, ułożono się, jak postępować należy w możliwie najkrótszym czasie, jaki do działania pozostawał.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Śmierć znakomitego artysty dramatycznego: Ś. p. Bolesław Ładnowski.



Uroczystości salezyańskie: Uroczysta procesya podczas poświęcenia zakładu XX. Salezyanów w Przemyślu.

## Uroczystości salezyańskie.

Wielką misyę wychowywania młodzieży niezamożnej, pozbawionej środków i opieki, spełniają w Galicyi między innymi XX. Salezyanie, którzy jedną z takich placówek wychowawczych założyli już przed laty w Oświęcimiu. Zakład ten obchodził właśnie w tych dniach dziesięciolecie swego istnienia. Uroczystość ta połączona była z odsłonięciem pomnika ś. p. ks. prałata Andrzeja Knycza, proboszcza oświęcimskiego, którego zabiegom należy zawdzięczać powstanie zakładu. Pomnik wykonany został w stylu gotyckim z kamienia pinczowskiego, a biust ś. p. ks. Andrzeja Knycza z białego carraryjskiego marmuru, w znanej firmie p. Józefa Kuleszy w Krakowie.

Równie podniosłą uroczystość święcili ks. Salezyanie w Przemyślu, gdzie w d. 22 b. m. odbyło się poświęcenie nowego zakładu salezyańskiego. Na uroczystość tę przybył ks. Paweł Albera, generał Zgromadzenia ks. Salezyanów, który odprawił sumę w kaplicy zakładowej. Następnie o g. 4-ej po poł., po nieszporach, odbyła się procesya, poczem ks. arcybiskup Pelczar dokonał aktu poświęcenia nowego zakładu.

Uroczystość zakończyło wieczorem amatorskie przedstawienie, na którem wychowankowie zakładu odegrali melodramat „Kowal".

## Sztandar służby miejskiej w Krakowie.

Piękną uroczystość poświęcenia sztandaru obchodziła w ubiegłą niedzielę służba miejska w Krakowie. Aktu poświęcenia dokonał w kościele N. P. Maryi, ks. biskup Nowak. W uroczystości wzięli udział przedstawiciele cechów z chorągwiami, delegaci służby miejskiej ze Lwowa ze sztandarem, radcowie miejscy z wiceprezydentem Krakowa, dr. Szarskim na czele, p. prezydentowa Leowa i inni. Po poświęceniu uformował się pochód z muzyką, który udał się do Starego teatru, gdzie nastąpiło wbijanie gwoździ przez ojców chrzestnych.

Przy fundowaniu sztandaru służba miejska powzięła chwalebną myśl, aby nawiązać nić z tradycyami dawnego Krakowa. Sztandar, wykonany według wzorów z XVI wieku, ma na jednej stronie rok 1526, datę najstarszej zapisanej w kronikach Krakowa tradycyi o korporacyi straży miejskiej. W pośrodku znajduje się herb m. Krakowa, a po bokach 2 pary strażników, w strojach XVI wieku. Na odwrotnej stronie sztandaru widnieje wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej.



Sztandar krakowskiej służby miejskiej: Grupa krak. służby miejskiej z nowym sztandarem (po prawej stronie) i delegaci służby miejskiej ze Lwowa przed Starym Teatrem.

# Kronika tygodniowa.

Powtarzane prawie codziennie słowa suplikacyi: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas Panie!“ nigdy może nie były tak na czasie, jak obecnie, kiedy wszystkie te plagi grożą nam z różnych stron. Jeden tylko ogień okazuje się bardzo lojalnym wobec nas, prawdopodobnie dlatego, by nie narazić na straty towarzystw ubezpieczeniowych, głównie zaś Floryanki, która zasłużyła się społeczeństwu, udzielając chwilowo przytułku w swej sali bezdomnej na razie Radzie miejskiej.

Pałac Wielopolskich restauruje się bowiem nie na żarty, odświeża się salę posiedzeń, kto wie, czy w ślad za tem nie pójdzie i reforma regulaminu miejskiego i ustawy wyborczej, do której od tak dawna bezskutecznie wzdychamy.

Nie uprzedzajmy jednak wypadków, lecz wróćmy do założenia.

Przez całe lato straszono nas „powietrzem“, to jest dżumą, która miała ochotę zawitać w nasze progi od strony Wschodu i cholerą. Ta ostatnia zdążała ze wszystkich stron: od wschodu, zachodu, północy i południa. Wielkiej jednak szkody nie wyrządziła, gdyż władze sanitarne zapomniały o tradycyjnej staropolskiej gościnności i zakazały obu wstępu w granice kraju. Nadeszła jesień, z nią oziębiła się aura. Zmniejszyła się tem samem obawa zawleczenia zarazy, zresztą nawet o tem się dziś nie myśli, gdyż mamy na głowie daleko ważniejsze sprawy, w pierwszej zaś linii drugą plagę, to jest głód.

Głód ten jednak nie jest następstwem jakichś klęsk elementarnych, jest on wytworzony sztucznie przez dostawców środków spożywczych, którzy zawiązali formalny kartel, aby nas ogłodzić. Żywności mamy podostatkiem, niestety nie można się jej dokupić, gdyż ceny z każdym dniem idą w górę. Chciwość agraryuszy i ich adherentów, w ślad zaś za nią wyzysk przez miejskich handlarzy, którzy po prostu uprawiają lichwę żywnościową, nie mają już granic.

Zaradzić nędzy miał w pierwszym rzędzie parlament, który nie może się zabrać do pozytywnej pracy, tłumacząc się nieśmiertelnym brakiem czasu i zdenerwowaniem po strzałach Wawraka, po których dotąd nie może przyjść do siebie. Opatrznościowy mąż, ekscellencya Gautsch, obiecał wprawdzie, że rząd zajmie się rychło tą sprawą, od obietnic jednak do ich wykonania bardzo daleko, zwłaszcza teraz, gdy gabinet nie rozporządza większością parlamentarną.

Jeden z najsprytniejszych polityków austryackich, były minister a obecny prezes Koła Polskiego, dr. Biliński, podał nowy plan, powzięty podobno do spółki z prezydentem Izby poselskiej, Sylwestrem. Ma on ułatwić konsolidacyę stronnictw i wytworzyć silną większość rządową w parlamencie. Chodzi mianowicie o utworzenie „komitetu pracy“ lub „komitetu porządku“, złożonego z przedstawicieli niemieckich liberałów, chrześcijańsko-społecznych, Klubu czeskiego i Koła Polskiego. Skoro porozumienie pomiędzy przywódcami stronnictw okazało się niemożliwem do osiągnięcia, zająć się ma tem ów komitet, który prędzej i łatwiej powinien się załatwić z tą sprawą.

Czy jednak powiodą się zamysły, trudno dziś przewidzieć, zwłaszcza, że na przeszkodzie staje w pierwszym rzędzie sprawa włoskiego fakultetu, za którym stoi rząd, a który zwalczają namiętnie niemieccy liberali.

Także i klub ruski niezadowolony jest ze stanowiska rządowego i pozostaje w opozycyi. Rusini żądają, aby jak najprędzej uwzględniono ich postulaty i to bez oglądania się na zgodę Koła Polskiego, *respective* bez przeprowadzenia tak zwanej ugody polsko-ruskiej, o której, w obecnych przynajmniej warunkach, gdy Rusini ze swej strony stawiają same żądania, a nie zgadzają się na żadne ustępstwa, chyba ani mowy być nie może.

Zupełnie to samo da się powiedzieć o porozumieniu czesko niemieckiem, które wyrodzić się mogło tylko w umysłach polityków, obdarzonych sporą dozą bardzo bujnej fantazyi. Tutaj jest jeszcze gorzej niż w Galicyi, gdzie przynajmniej Polacy usposobieni są pojednawczo. W Czechach, ani Niemcy, ani Czesi, nie chcą ustąpić ani na krok.

Wobec takiego zbiegu fatalnych okoliczności o żywotności naszego parlamentu i zdolności do pracy, nawet myśleć nie podobna, dopóki zaś to nie nastąpi, obietnice parlamentu i poszczególnych jego członków są tylko czczą mrzonką i pustym frazesem.

Odbył się także we Wiedniu zjazd przedstawicieli miast austryackich, który powziął cały szereg bardzo doniosłych rezolucyi, mających zwalczyć obecną drożyznę w miastach, mają one jednak tylko platoniczne znaczenie i pomieszczone być winny w rzędzie pobożnych życzeń, dopóki przynajmniej nie zmieni się gruntownie obecna sytucya wewnętrzna w naszej połowie monarchii.

Istnieje i we Wiedniu komisya drożyźniana, wybrana z łona Izby poselskiej (gdyż „panowie“ nie potrzebują się zajmować takiemi głupstwami) ale i ona też tylko radzi, a mało przynosi pożytku, przypominając zupełnie owe komisye aprowizacyjne, które w miastach galicyjskich wiodą suchotniczy żywot i istnieją tylko... *de nomine*. W czasie ostatniej sesyi, członkowie jej, ludowiec hr. Lasocki i konserwatysta pan Haller, sprzeciwili się stanowczo dowozowi mięsa argentyńskiego, pragnąc nas zapewne przerobić na jaroszów. Wiadomo zaś, że pokarm roślinny wpływa bardzo dodatnio na złagodzenie charakteru i uspokojenie wojowniczych instynktów. Niestety już i w jaroszów bawić się dziś trudno, bo podrożała wszelaka zielenina.

Ratuje nas w biedzie krakowski magistrat, który zakupić ma, czy już nawet zakupił, ziemniaki dla miejskich głodomorów i przedstawiciele partyi socyalno-demokratycznej, występujący jako przedsiębiorcy piekarscy, mający nas karmić chlebem własnego wyrobu „z młotem w zębatem kole“.

Może to bodaj w części ulży naszej niedoli!

Sprawa „głodowa“, dzięki fatalnemu zbiegowi politycznych okoliczności, przedstawia się więc w bardzo czarnych kolorach i nie rokuje rychłej zmiany na lepsze. Z dnia na dzień drożeje wszystko w sposób zastraszający ku utrapieniu naszych biednych gospodyń, które potem swe niezadowolenie wywierają na nas, dostawcach gotówki, potrzebnej do popędu gospodarstwa domowego.

Pożal się też Boże, jak wygląda obecnie to gospodarstwo!... Po prostu zbrzydło człowiekowi już życie skutkiem ciągłego borykania się o kawałek codziennego chleba i to chleba suchego, bez masła, a nawet kunerolu! Zrazówka, krzyżówka i polędwica, to specyały, o których możemy tylko marzyć, a oglądać je chyba na wystawach sklepów rzeźniczych i masarskich. Najprzyjemniejszą lekturę stanowi dla mnie codziennie, po „tak zwanym“ obiedzie, książka kucharska ś. p. Cwierciakiewiczowej, owa perła literatury gastronomicznej z tych czasów, kiedy to można było smaczny obiadek spożyć za „trzy złote“ i jeszcze coś niecoś zostało na kolacyę!...

Nie będę jednak drażnił Szanownych Czytelników tak „smacznemi“ wspomnieniami, kończę rozdział o głodzie konkluzyą, że nie mam wcale nadziei, by nastała zmiana na lepsze, choćby nawet pan Gautsch ustąpił, a jego miejsce zajął pan Biliński.

Chyba, że wezmą się na ostro do rzeczy, przestaną tylko radzić, a zaczną także i robić!

Przechodząc teraz do porządku dziennego nad ogniem, o którym napomknąłem już na wstępie, przystępuję do wojny...

Przedewszystkiem mamy więc my żonaci nieustającą wojnę domową z naszemi połowicami z przyczyn wyżej wyłuszczonych. Każdy małżonek pędzi ten marny żywot w ciągłem pogotowiu wojennem, stanowiąc, niestety z zasady stronę odporną, bardzo zaś rzadko zaczepną, co się jednak zazwyczaj źle kończy, jak to miałem sposobność skonstatować na jednym z mych politycznych przyjaciół, który onegdaj dopiero wieczorem odważył się pokazać publicznie na mieście, taki był podrapany. Stracił też w zupełności smak do pilznera i zieleniaka!

Najlepiej jeszcze wychodzą ci małżonkowie, których połowice noszą nowomodne suknie, spętane niżej kolan... W decydującej chwili możesz przynajmniej ratować się ucieczką, a ona cię nie dogoni. Dzięki jednak gimnastyce, panie nasze nabyły ogromnej wprawy w rzucaniu na odległość ciężkimi przedmiotami... Bodaj licho wzięło to nowomodne wychowanie!

Na domiar nieszczęścia, przepowiada koleżanka redakcyjna od mód niewieścich, że owe spętane suknie wychodzą już z używania, a miejsce ich zajmą wolniejsze dołem i kto wie, czy nie doczekamy się nawet i krynolin, w których tak „do twarzy“ było naszym babkom i prababkom. Moda ulega ciągłym wahaniom, spodziewajmy się i tej zmiany, następstwem jej będzie zmiana wozów tramwajowych na większe, gdyż, jeśli dziś już nie mogą się w przedziale klasy pierwszej zmieścić cztery damy w nowomodnych kapeluszach, w krynolinie nie wejdzie tam ani jedna!

Dajmy zresztą spokój krynolinom i ich właścicielkom, które mogłyby się obrazić na Bogu ducha winnego kronikarza, że miesza się w nieswoje rzeczy. Kończmy rzecz o wojnie, tym razem już tej prawdziwej.

W Austryi, dopóki minister Auffenberg nie otrzyma żądanych trzystu milionów (a jakoś ani austryacki parlament, ani sejm węgierski nie mają do tego ochoty) wojny spodziewać się nie należy. Najpierw trzeba uzupełnić uzbrojenia, by choć w przybliżeniu można się było dostosować do sprzymierzonego sąsiada, który nam na pięty następuje. A marynarka austryacka pozostawia dużo do życzenia, nawet Aron Gajer nie dałby za nią zbyt wiele, choć on marynarki przedkłada nad inne części składowe garderoby męskiej.

Zato, o ile naturalnie można wierzyć pismom codziennym, wre walka na trzech końcach świata, w Portugalii, Trypolisie i Chinach. Pierwsza z nich była tylko maleńką ruchawką rojalistyczną, odpowiedniejszą do kinematografu lub operetki, a nie na karty historyi. Zwolennicy króla Manuela porwali się z motyką na słońce, ich protegowany pozostał i nadal w Anglii, gdzie z zupełnym spokojem poluje sobie na króliki...

Daleko gorzej jest w Trypolisie, skąd wiadomości przychodzą bardzo skąpe i niejasne. Włosi cieszą się, że pobili na głowę nieprzyjaciela, który się nawet nie pokazał, Turcy przechwalają się znów, że ze wszystkich stron nadciągają im z pomocą szczepy beduińskie. Ale jakoś dotąd się nie zjawiły.

Natomiast szczep Senussi, nie mogąc się doczekać przybycia krakowskiego legionu ochotniczego, od czego miało się zacząć akcyę zaczepną wobec Włochów, urządził tymczasowo nadprogramową rzeź chrześcijan w Benghazi, by w ten sposób przypomnieć się Europie. Epilog całej makaronowej afery będzie taki, że mocarstwa każą Włochom cicho siedzieć w Europie, Turcya się wówczas uspokoi, a w świecie politycznym nastanie znów *status, quo ante*, to jest okres dalszych zbrojeń i wzajemnego kiwania sobie palcem w bucie.

Przyznaję się, że nie jestem zawodowym politykiem i być może się mylę, proszę mi jednak wybaczyć, to przytrafia się nawet ministrom i głowom koronowanym, a mnie niegdyś w szkołach nazywano, co najwyżej... koronnym!...

Najgorzej jednak jest w Chinach, gdzie rewolucya wybuchła w całej pełni. Wojska cesarskie uciekają przed powstańcami, zostawiając im broń, amunicyę, żywność; zdaje się, że wybiła ostatnia godzina dla dynastyi mandżurskiej. Czy moje przypuszczenia, wyłuszczone w poprzedniej kronice, że tam Japończycy dolewają oliwy do ognia, by mieć potem pretekst do interwencyi, są oparte na faktach rzeczywistych, tego także nie sprawdziłem, choć przyznam się, że kwestya chińska więcej mnie obchodzi, niż zatarg włosko turecki w Trypolisie, już choćby z tego powodu, że obecnie gotowa podrożeć herbata, a o to boi się znów moja żona i każe mi bacznie śledzić przebieg wypadków na dalekim Wschodzie.



Śmierć znakomitego artysty dramatycznego: Bolesław Ładnowski w roli „Króla Leara".



Uroczystości salezyańskie: Nowy zakład wychowawczy XX. Salezyanów w Przemyślu.

## Trzy miesiące więzienia administracyjnego za policzek.

W tych dniach wynikło w Warszawie zajście pomiędzy byłymi uczniami szkoły gen. Chrzanowskiego: maturzystą, p. Melchiorem Wańkowiczem, z Litwy, a p. M., obecnie studentem uniwersytetu warszawskiego — w którem p. Wańkowicz spoliczkował p. M.

Generał gubernator skazał p. Wańkowicza za to na trzy miesiące więzienia. P. W. aresztowano.

## Smierć znakomitego artysty dramatycznego.

Na horyzoncie polskiej sztuki dramatycznej zagasło wielkie światło. W Warszawie zmarł nagle na anewryzm serca w dniu 23 b. m. jeden z najstarszych i najzasłużeńszych polskich artystów dramatycznych, którego nazwisko związane jest najściślej z historyą polskiego teatru i polskiej sztuki dramatycznej ostatnich lat pięćdziesięciu.

S. p. Bolesław Ładnowski był jednym z niewielu artystów, którzy pracowali kolejno na trzech największych scenach polskich, tj. w Krakowie, we Lwowie i Warszawie i wszędzie działalności swej ślad trwały i niezapomniany pozostawili. Przedstawiciel najszlachetniejszego wydziału ról w zakresie pracy aktorskiej, twórca długiej galeryi bohaterów z klasycznego i współczesnego repertoaru, spadkobierca i kontynuator najlepszych tradycyi polskiej sztuki dramatycznej, idącej nieprzerwanym łańcuchem od Bogusławskiego, Kudlicza, Chełchowskiego, Smochowskiego, Żółkowskiego i Królikowskiego, przechodzi do potomności jako następny w tym długim szeregu twórców, co zbudowali gmach i utrwalili tradycye polskiej sztuki aktorskiej.

S. p. Bolesław Ładnowski urodził się w r. 1841 w Płocku, z ojca Aleksandra i matki Rozalii z Brzozowskich, artystów dramatycznych. Wychowany w atmosferze teatru, przesiąkły na wskróś tradycyą zamiłowania i poświęcenia się sztuce, należał do rodu, w którego żyłach dziedzictwem płynęła krew prawdziwych dzieci Melpomeny i Talii, i który szczytne w historyi polskiej sztuki zajął miejsce.

Do szkół uczęszczał we Lwowie i w Krakowie, ale już w 19 roku życia odezwało się w nim powołanie do teatru i wyjechał z trupą ojca na wędrówkę po Królestwie. W r. 1861 wstąpił do szkoły dramatycznej J. Chęcińskiego w Warszawie, stąd przeszedł na scenę warszawską. Po krótkim pobycie w teatrze „Rozmaitości" wyjechał do Krakowa i tu kolejno za dyrekcyi Pfeiffera i Skorupki zdobywał ostrogi aktorskie. Swietnie zagrana za dyrekcyi Koźmiana rola Hamleta zdecydowała o dal-

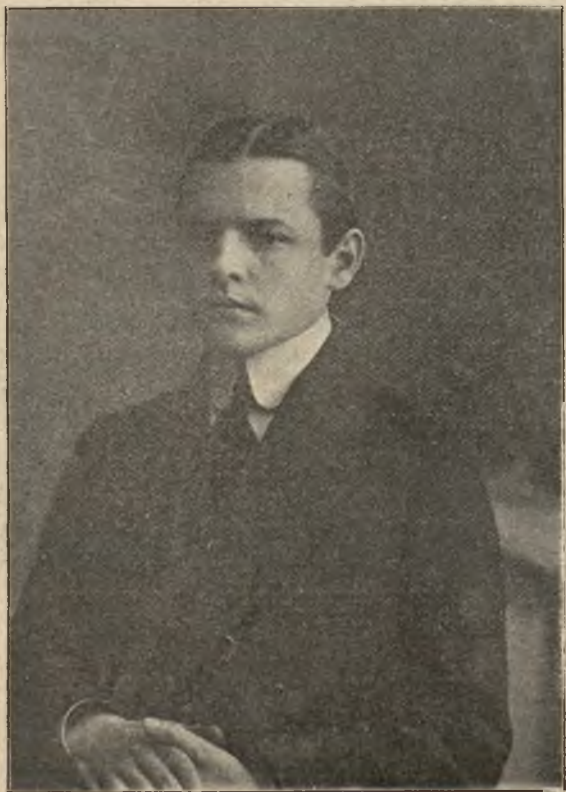


Zaślubiny w cesarskim domu: Młoda para w otoczeniu gości weselnych po ceremonii ślubnej.



Uwolnienie z więzienia: Katarzyna Małecka, uwolniona za kaucyą 20 000 rub, zebraną w Anglii.

szym kierunku pracy Ładnowskiego na scenie, odkryła w nim materyał na tragika, którym już pozostał do śmierci na chwałę własną i polskiego teatru. Będąc tragikiem z powołania, był równocześnie Ładnowski amantem bohaterskim, przedstawicielem sił charakterystycznych, stylowym inter-



**Trzy miesiące więzienia administracyjnego za policzek:** Melchior Wańkowicz, skazany administracyjnie na trzy miesiące więzienia za wypoliczkowanie studenta uniwersytetu warszawskiego.

pretatorem sił dawnego repertoaru, znakomitym kochankiem fredrowskim. A talent ten wielki i giętki umiał akomodować się do wymagań ducha czasu i współczesnej dramatycznej literatury. W rolach Ibsenowskich i w sztukach Okońskiego i Przybyszewskiego umiał równie dobrze odnaleźć ton zasadniczy i wlać w nie iskry życia i zapału młodzieńczego, jak w sztukach z okresu początków swego zawodu.

W r. 1873 objął ś. p. Ładnowski kierownictwo teatru lwowskiego, ale po roku tamże pobytu powrócił na scenę krakowską, skąd około roku 1881 przybył do Warszawy i pozostał tam już do końca życia jako artysta, reżyser i kierownik repertoaru.

Pobytowi na scenie krakowskiej, zwłaszcza w okresie rządów Koźmiana, zawdzięczał Ładnowski zasadnicze podstawy szlachetnego stylu w grze, prostoty i prawdy w interpretacyi. Koźmian wpoił w Ładnowskiego zasady gry skoncentrowanej, zaprawił go do realizmu scenicznego, nauczył gardzić spekulacyą na efekty głosowe i kostyumowe. Te też pierwiastki wniósł Ładnowski na scenę warszawską i niemi do śmierci odbijał korzystnie od swego otoczenia.

Wdzięczność za zdobyte w Krakowie rudymenta gry aktorskiej wiodła też często Ładnowskiego w gościnę do grodu podwawelskiego za dyrekcyi Gliksona i Pawlikowskiego, gdzie jeszcze pędził schyłek dni sędziwy jego ojciec Aleksander (zmarły w r. 1889) i siostra, p. Bronisława Wolska Wohlschlägerowa. Ożeniony z Henryką Bendówną nie znalazł w małżeństwie tem szczęścia i pędził życie w samotności, oddany pracy zawodowej i umiłowanej lekturze arcydzieł literatury. Kiedyś, w młodości, sam próbował sił w poezyi dramatycznej, a dom jego, mianowicie podczas pobytu we Lwowie, gromadził najwybitniejszych poetów i powieściopisarzy. Dobrzański, Dzieduszycki, Lam, Ujejski, bywali gośćmi stałymi w kawalerskiem mieszkaniu Ładnowskiego, a w Warszawie popularne były przed laty wieczory czwartkowe poświęcone gawędzie literackiej, na których Ładnowski prezydował. Kochał literaturę, kochał teatr, kochał swój zawód. Życie zeszło mu na ciężkiej, żmudnej, ale bogatej w plon pracy — to też zostawia po sobie imię, nie tylko szczytnie zapisane w rocznikach polskiej sztuki, ale także pamięć dobrze zasłużonego obywatela. *P.*

## Uwolniona z więzienia.

Przed pół rokiem odbiło się głośnem echem aresztowanie w Warszawie obywatelki angielskiej, panny Katarzyny Małeckiej, nauczycielki muzyki, pod zarzutem należenia do Polskiej Partyi Socyalistycznej. Z tego powodu w parlamencie angielskim wniesiono liczne interpelacye, na które minister spraw zagranicznych odpowiedział w tym sensie, że władze rosyjskie nie uznały za możliwe zwolnić uwięzioną.

Dopiero w zeszłym tygodniu wskutek starań obrońcy panny M., mecenasa Papieskiego, władze zgodziły się na wypuszczenie oskarżonej z więzienia za kaucyą 20.000 rb. Ponieważ uwięziona sumy takiej nie posiadała, przyjaciółki p. M. w Londynie zakołatały w kilku poważnych pismach angielskich do serc swoich rodaków, a apel ten nie pozostał bez rezultatu: w ciągu tygodnia złożono w redakcyach oznaczoną sumę 20 000 rb. W tych dniach pieniądze te zostały przesłane do Warszawy i złożone w kasie gubernialnej jako kaucya, poczem p. Małecka opuściła mury warszawskiej cytadeli.

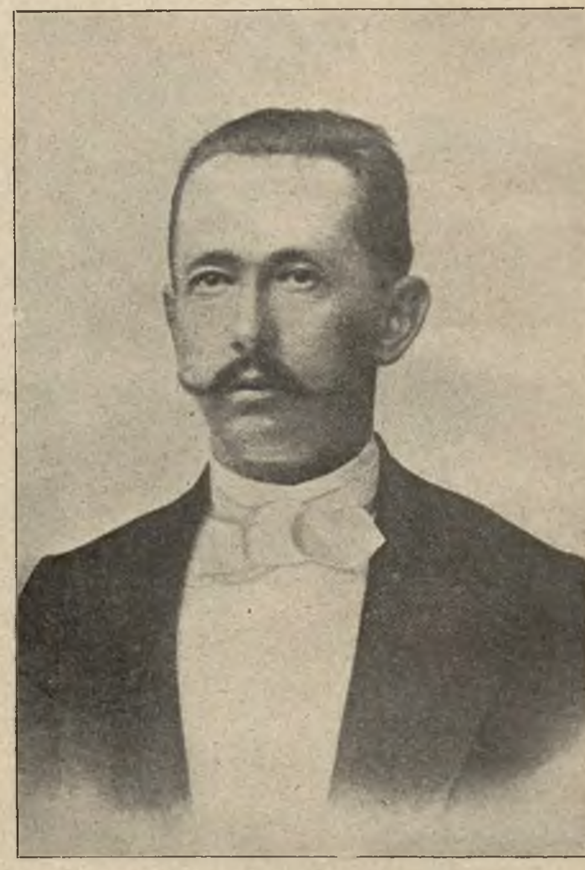
## Zgon obywatela-wydawcy.

W d. 16 b. m. zmarł w Warszawie w wieku lat 54, ś. p. Józef Sokolnicki, obywatel ziemski i współwydawca miesięcznika „Wieś Ilustrowana". Zmarły, który był synem b. oficera wojsk polskich, a wnukiem znanego w historyi jenerała Sokolnickiego, dzięki swej zacności i uczynności cieszył się powszechnym szacunkiem w szerokich kołach Warszawy i wśród ziemiaństwa.

S. p. Sokolnicki pozostawił żonę i jedyną córkę, a śmierć jego okrywa żałobą rodzinę znanego poety Kazimierza Laskowskiego, którego był szwagrem.

## Orkiestra wiedeńska w Krakowie.

Doroczne gościny zagranicznych lub wiedeńskich zespołów orkiestralnych tak już weszły w zwyczaj w Krakowie, że trudno sobie wyobrazić sezon muzyczny bez tej najświetniejszej i najbardziej pożądanej okrasy. W tym roku wcześniej niż zwykle przybyła do nas bardzo znana orkiestra wiedeńskiego *Tonkünstler-Verein* ze swym niezrównanym dyrygentem Oskarem Nedbalem i daje w Starym Tea-

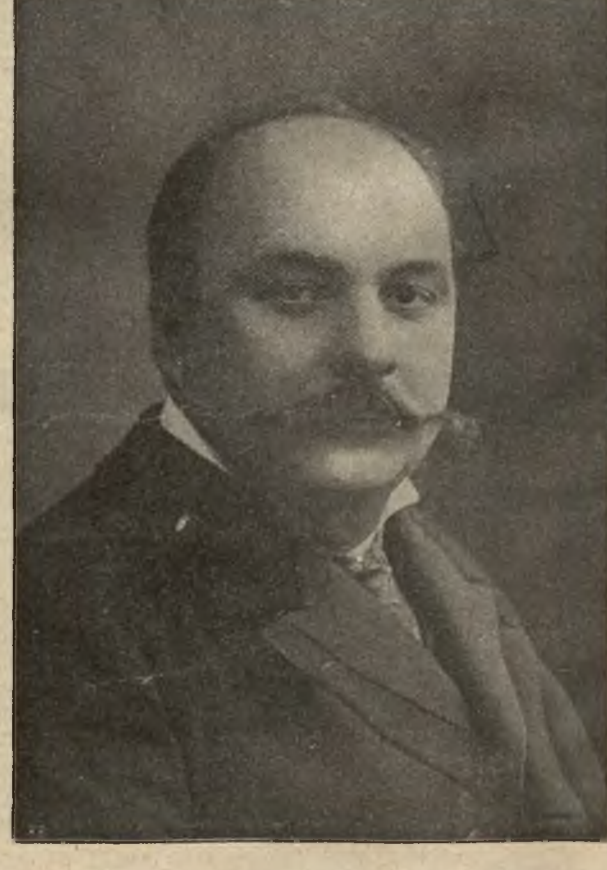


**Zgon obywatela-wydawcy:** Ś. p. Józef Sokolnicki.

trze trzy koncerty o pierwszorzędnych, nader interesujących programach. Pierwszy z nich odbył się już 24 bm. i dał melomanom krakowskim sposobność stwierdzenia, że wyborny ten zespół symfoniczny pod niespożytą dyrekcyą Nedbala zrobił od ostatniego pobytu u nas ogromne postępy. Był też ten koncert jednym ciągiem owacyi dla orkiestry i jej kierownika. Nedbal jest urodzonym dyrygentem; gdy stanie na czele swej drużyny, cała jego siła woli zdaje się być skierowaną tylko ku jednemu celowi: wydobycia z każdej grupy instrumentów największej intenzywności wyrazu. Pod jego dyrekcyą nabiera każdy utwór nadzwyczajnego życia i barwności. Przyznał to świetnemu kapelmistrzowi czeskiemu także nasz ś. p. Noskowski, którego „Step" wykonany przez orkiestrę był ozdobą i kulminacyjnym punktem pierwszego koncertu. Po wielkim sukcesie Nedbala i jego orkiestry wzrosło jeszcze niezwykle zainteresowanie koncertami następnymi, zapowiedzianymi na 29 i 30 b. m.



**Włoska wyprawa wojenna:** Arabowie podziwiający artyleryę włoską na ulicach Trypolisu. (Do art. na str. 8).



**Orkiestra wiedeńska w Krakowie:** Oskar Nedbal, dyrektor orkiestry wiedeńskiej.

# Rozwiązanie zagadek z Nr. 41.

*Dobre rozwiązania nadesłali Pp:* W. Patelski Warszawa, J. Albinski Kołomyja, D Sed ńska Kraków, J Jakubowska Kraków, H. Obst Warszawa, K Radoszewski Sambor, J. Scholz Rozwadów, K Bernatowicz Trembowla, R. Kinalski Rzeszów, M Krawecki Tarnów, H. Osadziński Piotrków, W. Bandrowski Staszow, J. Kwaśniewski Przemyśl, M. Świrska Piotrków, J. Ostrowski Sandomierz, M. Więckowska Krosno, W. Thon Jasło, W. Otowski Warszawa, J Biliński Kołomyja, H. Link Kraków, T. Mazaraki Radom, J. Trepka Warszawa, H. Kalinowska Lwów, K. Balicki Sandomierz, R. Czapuezyński Jasło, H Lindenbaum Krosno, J. Pick Warszawa, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, A Dużak Kraków, J. Wiewiorowski Tarnów, H. Wilczkiewicz Rzeszów, W. Potocka Kraków, K Ka m Kraków, S. Kowalówka Facimiech, F. Bä teifeind Lwów, J. Walter Podwołoczyska, H. Piątek Podwołoczyska, K. Jahoda Cieszyn, J. Obraczay Morawska Ostrawa, H. Misiński Zoczów, J Śliwiński Brzostek, K Łopatkiewicz Jordanów, A. Biliński Tarnopol, A. Trojacka Wieden, H. Zegartowska Bogucice, J Ligęza Tarnow, M Lisowska Kraków, F. Zając Bochnia, A Siatka Kraków, J. Wilczyński Warszawa, M. Rieger Brody, L Stanisławski Czerniowce, H. Bukowski Kijów, M. Maciejowska Winnica, H. Ohrenstein Lwów, K Tomaszewski Zgierz, L. Winter Tarnopol, M Silberzweig Poznań, K Karwowski Kraków, L. Reichenberg Chrzanów, H Dębicki Lwów, J Jordan Sanok, M Sikorska Stanisławów, T. Gawęda Radomyśl, M. Garan Radom, J. Lichanski Warszawa, H. Gawronski Kijów, Z Michalska Petersburg, K Zalewski Jasło, C Wang Rzeszow, D. Rosenbaum Tarnow, D. Eig-iberg Rzeszów, H. Czapuczyński Oleksin, L. Krokowski Sambor, T. Dymnicki Dobrzechow, I Brzostowski Podgorze, J. Strojek Tarnopol. B. Zbigniewicz Krakow, J. Olszewski Lwów, M. Klimek Bochnia, H Knopf Jarosław, J. Broda Rzeszów, M. Ag t Lwów, H Rogozińska Kraków, T. Szumski Ryga, J Kawka Kraków, L. Lang Kraków. H. Górski Lwow, M. Kot Sambor, J Zachara Rzeszow, M. Wyka Lwow, J Kozicki Stanisławow, D Łopatyński Kraków, W. Zakrzewska Warszawa, S. Jasiński Rzeszow, H. Górecki Kraków, A. Lorencki Warszawa, S Uderska Kraków, J. Żegaj Wilamowice, J Rożycka Jarosław, M. Sebańska Budzanow, K Szumańska Rawa Ruska, J. Bojuk Bełz, E Krieg Jaworzno. M. Arbesbauer Lwow, S R gowski Bochnia, B Rzepecki Borysław, K Fuchs Czeremchów, W. Siuta Widynow, R Błociszewski Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. H. **Rogozińska, Krakow.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

**Szarada:** Parasol.

**Szarada:** Kołyska.

**Okienko:**

H a b a k u k
a b r
b r a
a b r a h a m
k h a
u a r
k r a m a r z

**Zadanie do przestawienia:** Nie dla psa kiełbasa.

**Bilet wizytowy:** Sternik okrętowy.

**Zadanie do przestawienia:** Krowa, co dużo ryczy mało mleka daje.

**Arytmogryf:**

B u c z a c z
C h e ł m e k
B r z o z ó w
Ł a n c u t
B a s z n i a
R o g ó ź n o
S k a w i n a

**Zadanie do przestawienia:** Czem chata bogata tem rada

**Szarada:** Loki, kilo.

**Łamigłówka:**

Zora
Adam
Mara
Alfa
Cera
Hela
Nora
Aron
Moda
Iwan
Nana
Ilvo
Sara
Tora
Rawa
Azor
Wata
Eden
Woda
Imam
Emil
Dora
Noga
Igor
Ural

## Odpowiedzi Redakcyi.

*WPani A. M. Lwów:* Owszem, prosimy i o zagadnienia rachunkowe. T mte p mi śmy także.

*WP. M. Słabicki, Lwów:* Na razie pomieścić nie mogliśmy z powodu braku miejsca. Rezerwujemy sobie na później, sprawa bowiem będzie zawsze aktualną.

*WP. S. Kolousek, Kraków:* Pomieścimy w jednym z najbliższych numerów. Obecnie stanął na przeszkodzie brak miejsca.

## Głosy publiczne.

**Z Cyrku Edison:** Najwybitniejszą cechą programu bieżącego tygodnia są zdjęcia z toczącej się wojny włosko-tureckiej jak atak torpedowców włoskich, bombardowanie Trypolisu etc. Zdjęcia te oznaczają poprostu tryumf kinematografii. Kilka wesołych i poważnych zdjęć oraz nieoceniony „Żurnal Pathego“ dopełniają tego niezwykłego programu.

**PERFUMY, KREMY, PUDRY, MYDŁA**
z najsłynniejszych fabryk.

Nowość! **„PNEUMO“** Nowość!
aparat do masażu pneumatycznego polecany przez **Dra Lustra** specyalistę lekarsk. kosmetyki i chorób włosów

**Krem i Otrąbki.**
**Abarid**
do zmywania twarzy.
**Woda** różanno-radioaktywna.
**Kremy** do upiększenia cery:
**Floreine**
Brise exotique. Pate antirides.
**Wody na włosy:**
Tarool firmy Braband
Tetral „ Trisota.
Eau Philotric.



**Przybory toaletowe.**
Szczotki, grzebienie, lustra.
**Gąbki toaletowe.**
**Wanny** i miednice gumowe oraz **wszelkie nowości kosmetyczne** i hygieniczne ogłaszane i polecane w pismach kraj. i zagranicznych zawsze na składzie.

---

**Na zbliżający się sezon!**

**Sanki** sportowe dla dorosłych i dzieci



**Narty** Laski bambusowe. Obręcze śniegowe.

**SANKI** szwedzkie z kierownicą i hamulcem marki „Lenker“ i innych.
polecają najtaniej
# Reim i Ska, Kraków
**Rynek 37, Linia A-B.**

---

**Wyroby szczotkarskie.**
**Rogóżki** kokosowe, szczotkowe i żelazne.
**Wałeczki** kit i gips do uszczelniania drzwi i okien od zimna.

**Bile** z prawdziwej kości słoniowej i masówki
**Kije, kręgielki, skórki i wszelkie brzybory bilardowe.**
**Szachy, sztony, domina i karto do gry.**

**Kalosze oryginalne rosyjskie i amerykańskie.**
w największym wyborze.



---

Nadzwyczaj praktycznym podarunkiem **na gwiazdkę** jest moj słynny w całym świecie
## Garnitur do golenia Nr. 8730



**w pięknie politurowanej skrzynce** 20 cm. długiej, 15 i pół cm. szer., 6 cm. wysokiej, zamykanej, z **ruchomem zwierciadłem do golenia**, zawiera wszystkie przybory, potrzebne do golenia:
1. Brzytwę z najlepszej srebr. stali Solingen, 1 4 wydrążona, 4 8 szeroka, nadającą się do każdego zarostu, gotową do użycia.
2. Dobry pasek do pociągania,
3. Pudełeczko masy do ostrzenia,
4. Pudełeczko z mydłem antyseptycznem,
5. Niklowaną miseczkę.
6. Pędzel z niklowaną rączką.

Komplet I-szej jakości **tylko K 5·—**

Takisam garnitur, **lecz brzytwa z przyrządem ochronnym** dla niewprawnych (okaleczenie wykluczone) z pouczeniem **Kor. 5·60.** Nr. 8740. **Najnowszy garnitur do golenia** zawiera zamiast brzytwy, doskonale niklowany przyrząd bezpieczeństwa z 5 podwójn. ostrzami dla niewprawnych bardzo polecenia godny **K 4·80.** **Bez ryzyka!** Wymiana dozwolona, lub zwrot pieniędzy.
Wysyłka za zaliczką lub po otrzymaniu należytości.
C. i K. NADW. DOSTAWCA
**Hanns Konrad,** Dom wysyłk. **w Brüx Nr. 2932** Czechy.
Główny katalog z 4000 rycin na żądanie darmo i opł. wysyłam.

---

**Tylko K 3·20**
# KOCE ZIMOWE
**Niezbędne dla każdego gospodarstwa!**

Prawnie zastrzeżone!



Naśladownictwa są sądownie ścigane!

Około 128 cm. szer. 188 cm. długie, ważące około 1000 gr. Każdy czytelnik „Nowości illustrowanych“ powinien we własnym interesie zamówić na próbę, gdyż nie ma w tem żadnego ryzyka. Gdyby się koce niepodobały, przyjmuję je z powrotem bez zastrzeżeń i zwracam pieniądze.
**Najpiękniejsze dywaniki przed łóżka Kor. 1·60.**
Wysyłka za zaliczką lub poprzedniem nadesłaniem należytości.
**Pierwszy i największy morawski towarowy dom wysyłkowy.**
**JULIUSZ HOITASCH, Göding Nr. 125**
**(Morawy).**
Bogato illustrowany katalog główny na żądanie darmo i opłatnie.

---

## Najnowsze uznanie wysokiej osobistości!

**Do Szan. Eksportu psów „Flora“ w Repora koło Pragi (Czechy)!**
**Śliczny, maltański jedwabisty pinczerek, karzełek „Mimi“** wczoraj w dobrym stanie od WPanów nadszedł. Ponieważ „Mimi“ siostrze mojej, dla której był przeznaczony **bardzo się podoba,** mogę WPanu wyrazić **moje uznanie!**

Kraków, 19/X. 1911 r.
Z poważaniem **Dr. Wędkiewicz**
c. k. radca dworu i nadprokurator państw. w Krakowie.



NAJLEPSZE
# PSY
**wszystkich ras** dostarczamy **bardzo tanio** na próbę!

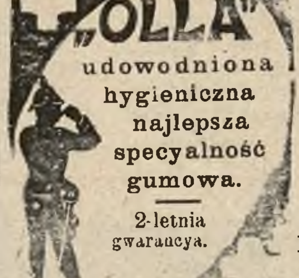
**Psy do polowania,** zupełnie do każdej zwierzyny **wytresowane,** angielskie laweraki, spanioly, gordony, setery, angielskie pointery, niemieckie krótkowłosy, francuskie gryfony, braksiry **od kor. 120—250,** najlepsze gat. od **kor. 300—450. Młode** szczeniaki 2—6 miesięczne od **kor. 50—95.**
**Największe olbrzymy,** najlepiej tresowane **stróże i obrońcy,** bernardyny, nowofundlandzkie, leonbergery, dogi, buldogi, wilki, charty syberyjskie, ang., boksery etc. **od kor. 90—450, szczeniaki po kor. 50—80.**
**Najmniejsze karzełki,** pinczerki, ratlerki, mopsy, świeczliki **od kor. 50 do 250. Wszystkie inne rasy psów:** pinczery, pudle, szpice, foxterriery, jamniki **od kor. 40—190.**
**Dostarcza solidnie** wszystkim sferom polskim w Galicyi, W. Ks. Poznańskiem i Królestwie z gwarancyą.
**14 dni na próbę, z dostawą do domu.**
## NAJWIĘKSZY EKSPORT PSOW
## „Flora Repora“ koło Pragi (Czechy).
Przy zapytaniach i zamówieniach próbnych prosimy o **dokładne** podanie **rasy, wieku, koloru, wielkości** i wymaganych przymiotów **danego psa,** jak również oznaczenie **najwyższej ceny,** jaką można ofiarować za psa wraz **z kosztami transportu.** Setki podziękowań z wszystkich ziem polskich za dostarczone psy **pierwszej jakości.**
**Wspaniale illustrowane katalogi** psów i **cennik** w polskim i niemieckim języku z 65 fotografiami wszelkich gatunków psów, prześlemy każdemu odbiorcy opłacony i polecony, za przesłaniem tylko 60 hal. w markach poczt.

---

# BIUST

stanowi ozdobę każdej kobiety, tylko nie jest u każdej należycie rozwinięty, wskutek czego kobiety w każdym wieku tracą wiele ze swej urody. Starają się w różny sposób temu zapobiedz. W pierwszym rzędzie różni wytwórcy polecają swoje preparaty do wzmocnienia biustu. Te we wszystkich gazetach szumnie zachwalane środki, są zwykle bezwartościowe, o czem się przeważna część próbujących pań sama przekonała. Jest całkiem jasne, że za 1 lub 2 korony nikt niczego nie może dostarczyć, coby choć częściowy skutek sprowadziło. Wszystkie te środki obliczone są na wyzysk P. T. Publiczności i jej nieświadomość. Pozwalam sobie polecić P. T. Paniom, środek, który **życzony cel osiąga:** jedyny w swoim rodzaju.
**Używanie jego tylko zewnętrzne. Działanie jest tak gromnie szybkie, że nawet u starszych kobiet spostrzega się już po najkrótszym czasie. Młodsze kobiety zdumiewa ten środek w prawdziwem tego słowa znaczeniu. „Louvre“ jest środkiem bez porównania. Jedna jedyna flaszka wystarcza w zupełności** i kosztuje 6 K.
Wysyłka nieznaczna bez podawania zawartości, za zaliczką.
**J, KUKLA, Praga, ulica Perlowa L. 162.**

---




Wszędzie do nabycia.
Cenniki darmo z fabryki gumy
**„OLLA“**
**Wiedeń II/56.**
**Praterstrassse Nr. 57.**

---




## Cenne aparaty fotograficzne

Kompletne aparaty fotograficzne, dające pod gwarancyą dobre zdjęcia, **z płytami, papierem, chemikaliami i samouczkiem:** Wielkość kliszy 6×9 cm. Kor. 1·90, 9×12 cm. Kor. 3·30, 5·70, 9·70 etc. (Porto osobno).
**Dokładne wspaniałe kamery i podwójne anastygmaty niedoścignione w dobroci.**
Używane aparaty i objektywy firm znanych, bardzo tanio do nabycia.
Katalogi główne o 130 stronicach za darmo jak również cenniki okolicznościowe.
**Elfr. Birnbaum** fabryka Kamer **Hirschberg 540 (Czechy).**

---

**ŻĄDAJ PAN CENNIKA ZEGARÓW**
**JGNACY CYPRES**
**KRAKÓW, FLORYAŃSKA 49.**
**TOWARÓW MUZYCZNYCH I GALANTERYJNYCH**

---

**Przeszło 4000**
**wzorów przedmiotów użytkowych**
na podarki wszelkiego rodzaju zawiera mój najnowszy katalog główny, który wysyłam natychmiast na żądanie **za darmo, opłacony.**
c. i k. nadworny dostawca
**Hanns Konrad**
**Brüx Nr. 2956 (Czechy).**

---



## Sanatoryum dla chorych-piersiowych w Zakopanem
pod kierunkiem dra **K. Dłuskiego.**

---

**Każda Pani**
znajdzie u mnie popłatny boczny zarobek przez roboty ręczne. Robota zostaje do każdej miejscowości wysyłaną. Prospekta wraz z gotowymi wzorami wysyła się za poprzedniem nadesłaniem 30 h. w markach.
**Emma Beck, Wiedeń XX.**
**Brigitenauerlände 30.**

---

**Gumowe i rybie**
**artykuły hygieniczne dla pań i panów** oraz inne środki ochronne z powodu wielkiego zbytu niezleżałe zawsze świeże poleca **taniej jak wszędzie**
## Droguerya Z. Komorowskiego
**w Krakowie, ul. Floryańska L. 33**
**róg ul. św. Marka.**
Wysyłki na prowincyę **opłatnie nie licząc opakowania** dyskretnie
**po Kor. 5·—, 7·— i 10·— za tuzin.**

---

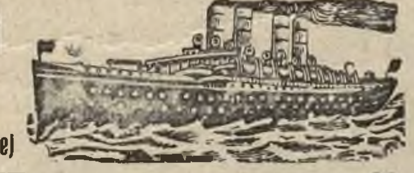
**Za darmo**
i opłacony otrzyma każdy mój główny katalog z 4000 odbitkami przedmiotów użytkowych i na podarki wszelkiego rodzaju, który na żądanie wysyłam odwrotnie.
**c. i k. nadworny dostawca**
**HANNS KONRAD, Brüx Nr. 2950**
**(Czechy).**

---

**NERWOWI**
słabowici, chorzy na żołądek, serce, piersi oraz cierpiący na brak krwi, apetytu i snu, na zawroty głowy, drżączkę i epilepsyę niechaj piją codziennie
**Rosena „Teon“** (herbata wzmacniająca i odżywiająca).
Cena: 2 kartony K 2·30, 6 kart. K 6·—, 12 kart. K 11·—. Przy przesłaniu pieniędzy naprzód, wysyłka opłacona, przy zaliczce 50 hal. więcej.
**Mr. Philipp Rosen,** aptekarz
**Sitzendorf** 85/22 koło Wiednia
N. Oesterr.

---

## Do Ameryki i Kanady
**przeprawia najlepiej**



## Linia Kunard we Lwowie, ul. Gródecka 99.
Cena przeprawy z Tryestu do N. Yorku III. kl. od osoby dorosłej wraz z pogłównem **K 160·**, od dziecka poniżej lat 12 wraz z pogłównem **K 90·**.
Odjazd z portu **w Tryeście:** **Ultonia:** d. 31 października 1911
**Pannonia:** d. 14 listopada 1911, **Carpathia:** 2? listopada 1911.
Odjazd z portu **w Fiume:** **Franconia:** 9 listopada 1911,
**Z Liwerpolu:** **Lusitania:** (największy i najwspanialszy parowiec świata) dnia 28/10, 18/11, 16/12 1911.
**Mauretania:** dnia 21/10, 11/11, 9/12, 30/12 1911.

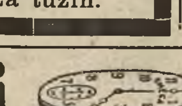
---



Nowość! Nowość!
**Zdumiewający skutek**
tylko przez używanie masażystki piękności „ADORA“ systemu p. Harlana, mającej tę własność, że przez ciśnienie atmosferyczne, względnie przez ssące działania masażu w najkrótszym czasie usuwa wszelkie nieczystości twarzy, zmarszczki, podbródki etc. i nadaje twarzy przeźroczysty delikatny wygląd. Cena masażystki piękności „ADORA“ K 3·—. Mniejszy aparacik specyalnie do powiek i nosa K 2.—. Prospekta darmo. Wysyłka dyskretna przez Dom wysyłkowy **„EFFEKT“ Nr. 8**
**w Rungurach via Kołomyja.**

---

# Najtaniej



**W KRAKOWIE**
# Grodzka 25

**Zegarki, zegary, Pierścionki** oraz wszelkie wyroby złote, srebrne i srebro stołowe poleca
## Emil Goldwasser



# za darmo
i opłacone wysyła bogato illustrowane cenniki.



GASTON LEROUX

# BALAOO

## KSIĘGA I.

## Przestrach we wsi.

### ROZDZIAŁ I.

**Zbrodnia w gospodzie „Pod Czarnem Słońcem".**

1)

Była dziesiąta godzina wieczorem i oddawna już nie było żywej duszy na ulicach wsi Saint-Martin des Bois. Szczelnie zamknięte okiennice nie przepuszczały ani promyka światła. Wieś wyglądała jak opuszczona. Zamknięci u siebie jeszcze przed nastaniem zmroku mieszkańcy nie zgodziliby się za nic w świecie otworzyć swych mieszkań przed świtem.

Zdawało się, że wszystko było pogrążone we śnie, gdy nagle na bruku ulicy Nowej rozległy się odgłosy licznych kroków. Miało się wrażenie biegnącej gromady ludzi i wkrótce można było rozróżnić głosy, krzyki, wołanie i poszczególne wykrzykniki ludzi, którzy niewiadomo skąd przybywali. Ani jedna okiennica, ani jedne drzwi nie otworzyły się na drodze tych hałaśliwych przybyszów. Bez wątpienia nie jedno ucho skrycie nadsłuchiwało, nikt jednak nie wyjrzał. Będzie zawsze dosyć czasu, żeby dowiedzieć się na drugi dzień rano, co się stało.

Wszyscy byli jeszcze pod wrażeniem dwu morderstw, których ofiarą padli fryzyer Lombard i krawiec Camus, a którym towarzyszyły okoliczności po części tragiczne, a po części złowrogo komiczne, a zawsze niewytłómaczone. Nikt nie ośmielił się spóźniać na drogach, gdzie zamożni wieśniacy, wracający z wielkich jarmarków w Châteldon i Thiers, byli napadani przez zamaskowanych bandytów, którym, pod groźbą śmierci, musieli oddawać wszystkie pieniądze. Kilka niezwykle śmiałych włamań, dokonanych w oczach właścicieli, którzy nie śmieli protestować, spowodowało dochodzenia sądowe, które jednak, prowadzone bardzo niedbale, nie dały żadnych rezultatów. Władze sądowe, źle informowane, nie okazywały więcej chęci do wykrycia złodziejstw, niż ofiary tychże do współdziałania w utrwaleniu bezpieczeństwa publicznego.

Wreszcie, gdy po nocnych napadach, pożarach, znacznych złodziejstwach i innych zbrodniach — dokonano tych dwóch morderstw — władze postanowiły zbadać sprawę gruntownie. Poczęły grozić najwięcej oniesmielonym, żeby zmusić ich do mówienia. Ci jednakże daliby sobie raczej wyrwać język. Oczywiście, władze nie mogły dłużej nie wiedzieć, przeciwko komu były skierowane podejrzenia wszystkich, musiały jednak zaniechać zbierania dowodów, które mogłyby kogokolwiekbądź obwinić. I tajemnica ostatnich zbrodni zaciemniała się w coraz szczególniejszy sposób.

Szczytem zaś wszystkiego było to, iż obok strasznych gwałtów działy się rzeczy śmieszne — o tak nadzwyczajnym komizmie, iż przerażały więcej, niż same zamachy i zbrodnie. Uczciwi kupcy na środku ulicy Nowej otrzymywali policzki w taki sposób, iż nie mogli powiedzieć, skąd pada uderzenie. Zaalarmowani rozpaczliwymi krzykami sąsiedzi znaleźli matkę Toussaint, przedsiębiorczynię haftu, na własnem podwórzu, ze spodnicami zarzuconemi na głowę i ciałem zbolałem od strasznych plag. Nie dowiedziano się nigdy, kto się wcisnął na podwórze, ani jakim sposobem. Zdarzały się wypadki, które miały coś z czarów: pomimo drzwi i zamków, niektóre przedmioty — jedne lekkie i błahe, bez żadnej wartości pozornej, inne znacznej wagi — znikały jak zaklęte. Pewnego poranku, zacny dr. Honorat, otwarłszy oczy, nie znalazł w swoim pokoju komody i szafki nocnej. Coprawda spał przy otwartem oknie. Nie wniósł on skargi i zachował dla siebie swe osłupienie, zadawalniając się tylko opowiedzeniem o dziwnem zdarzeniu przyjacielowi swemu, merowi Mr. Jules, któremu poradził zamykać okna na noc. Wkońcu nie śmiano przechodzić przez las, w którym się działy rzeczy tajemnicze... Ci, którzy wracali stamtąd, nie chwalili się niczem, ale też nie odważali się nigdy udawać w tamte strony. Była to, tak zwana w okolicy tajemnica „Czarnych lasów".

Czyż nie dość już było tylu wypadków? Jakiż nowy przestrach zmusił biednych ludzi z okolicy Cerdogne do przebiegania w nocy ul. Nowej, tak cichej zazwyczaj?

Pewna rzecz — z pozoru błaha, wypadek kolejowy, lub raczej zamach na życie podróżnych, jadących koleją lokalną, która łączyła linie Belle-Etable i Moulins na pograniczu prowincyi Bourbonnais, była przyczyną tego zamieszania.

Jakaś ręka zbrodnicza popsuła szyny u wylotu tunelu, wychodzącego na rzekę Cerdagne, i gdyby pociąg, który musiał przejść przez most, będący w naprawie, nie zwolnił znacznie biegu, katastrofa byłaby nieunikniona. Szczęściem, skończyło się na strachu i tylko wóz towarowy został zniszczony. Co do podróżnych w liczbie około dwudziestu, byli oni tak wstrząśnięci tym wypadkiem, że uciekli wprost przez pola, aż do Saint-Martin des Bois, alarmując wieś, pogrążoną we śnie. Z wyjątkiem dwóch, czy trzech, pochodzących z tej wsi, wszyscy inni udali się do małżonków Roubino, utrzymujących oberżę pod „Czarnem Słońcem" na rogu placu merostwa i ulicy Nowej.

W oberży było kompletne zamieszanie. Podczas gdy jedni żądali pokoju, lub co najmniej łóżka lub posłania, inni unosili się nad niebezpieczeństwem, którego uniknęli. Otyła pani Roubion starała się zadowolnić wszystkich, ale udawało się jej to z trudnością. Jeden materac o mało co nie został porwany na kawałki. Kiedy już od biedy wszyscy byli porozmieszczani, zjawił się ostatni podróżny z obandażowanem czołem. Był to jedyny ranny.

— Cóż to, panie Patryku! Czy pan jest ranny? — zapytała pani Roubion troskliwie, wyciągając tłustą rękę do przybysza, młodzieńca lat dwudziestu pięciu, o łagodnej i sympatycznej powierzchowności, niebieskich oczach i wąsikach starannie zakręconych.

— O, to tylko zadrapanie, nic poważnego, jutro nie będzie śladu. Czy ma pani dla mnie pokój?

— Pokój, panie Patryku? Został mi tylko bilard!

— Biorę bilard — rzekł młody człowiek z uśmiechem.

Wobec tego pani Roubion poszła zająć się p. Gustawem Blondel, komiwojażerem nowości pierwszorzędnej firmy Clermont-Ferrand, który w izbie stołowej urządzał sobie posłanie na stole, grożąc gospodyni śmiercią, jeżeli natychmiast nie da mu wałka pod głowę.

— Widzi pani, jest mi tu bardzo dobrze, lepiej, niż w sali bilardowej, gdzie te gaduły przeszkadzałyby mi spać. I czego oni właściwie wrzeszczą? Na co się skarżą?! Jeżeli wiedzą, kto jest sprawcą zamachu — niech powiedzą!

Usłyszawszy to — pani Roubion — pospieszyła zniknąć.

Właśnie wchodził do oberży aptekarz p. Sagnier. Uprzedzony przez mera — bohatersko wyrwał się z drżących ramion pięknej pani Sagnier i przyszedł proponując swe usługi. Nie znajdując nikogo do pielęgnowania, wpadł natychmiast w zły humor i przyłączył swe zdanie do najbardziej skrajnych, twierdząc, iż wobec takich zamachów, żaden uczciwy człowiek nie może mieszkać ani w Saint Martin des Bois, ani nawet w prowincyi Cerdogne.

Tymczasem nadszedł pan Jules, mer, wraz z zacnym doktorem Honorat. Wracali z dworca, gdzie zebrali wśród urzędników kolejowych niezbite dowody, że został popełniony zamach. Obaj byli tak bladzi, jak gdyby uniknęli śmierci.

— Znowu nieszczęście, panie merze — odrzekł Roubion.

— Tak — odrzekł p. Jules, głosem, który nie zdołał osiągnąć mocy. — Na szczęście nikogo nie straciliśmy.

Grobowe milczenie zapanowało po tych słowach. I nagle jakiś głos wykrzyknął:

— A mordercy? Kiedy nareszcie będą schwytani?

Wówczas nastąpił wybuch. Odezwały się oklaski i słowa zachęty dla tego, który to powiedział. Tamten jednak — jeden z wieśniaków — zamilkł. Zaczerwienił się po uszy i unikał wzroku mera.

— Sąd zjeżdżał. Jeżeli ich znacie, dlaczegoście ich nie wskazali, ojcze Borel? — zapytał mer.

Ojciec Borel nie był wcale głupszy od innych, nie szukał długo odpowiedzi:

— Nie jesteśmy policyą, ani merostwem. Każdy niech pilnuje swojego.

Nie można było wyciągnąć od nich innej odpowiedzi: „To nie należy do nas".

Komisarzowi policyi i sędziemu odpowiadali zawsze jednakowo: „To wasza rzecz — nie nasza! Rząd wam płaci za waszą umiejętność! Pracujcie na swoje pieniądze!"

Wszyscy byli jeszcze pod wrażeniem słów ojca Borela, gdy się zjawił Gustaw Blondel. Komiwojażer usiadł na bilardzie, a założywszy ręce i patrząc prosto w twarz merowi — powiedział:

— Co pana tak zajmuje, panie merze? Trzeba być przygotowanym na wszystko w kraju, zamieszkałym przez ludzi, których nazwisko brzmi podobnie, jak słowo „hultaj" *)

Szmer uznania i parę złośliwych śmiechów odezwały się natychmiast, ale wrażenie wywołane słowami Gustawa Blondela zostało zatarte przez nieoczekiwany wypadek. Śmiechy ustały raptownie i wszyscy, trącając się łokciami, spoglądali na nowego przybysza, któremu robiono miejsce z niezwykłym pospiechem.

Nowoprzybyły ubrany był w żółty, aksamitny garnitur, wysokie kamasze do kolan; rozpięty kołnierz koszuli odsłaniał szyję byka. Wypłowiały pilśniowy kapelusz, zesunięty na tył głowy, odsłaniał rudą, rozwichrzoną czuprynę. Wyraz twarzy był nadzwyczajnie energiczny i spokojny. Zielone oczy spoglądały na zgromadzonych, jakby ze znudzeniem. Osobnik ten, o szerokich ramionach, krępej postaci, był uosobieniem siły brutalnej. Wśród grobowego milczenia podszedł do komiwojażera i odezwał się głosem twardym i głuchym, w którym słychać było gniew poskramiany:

— *Vautrins*, hultaje, powiadasz? Nie wstydź się, mój mały, wiesz, że nie jestem drażliwy.

Następnie zwrócił się do mera:

— Dobry wieczór, panie merze.

— Dobry wieczór, Hubercie...

I pan Jules zmuszony był uścisnąć wyciągniętą dłoń. Przybysz usadowił się w kącie koło pieca, w którym rozniecono ogień, i kazał podać sobie szklankę wina, które Roubion pospiesznie przyniósł. Po opróżnieniu szklanki, wytarł usta rękawem i zwrócony do Blondela, rzekł:

— Oto jeszcze jeden taki, panie merze, który nie przetrawił ostatnich wyborów. Tylko, mój drogi, trzeba wiedzieć, co i kiedy należy mówić. Na zebraniach przedwyborczych można traktować ludzi jak ropuchy. Teraz jednak lepiej zachować spokój — nieprawdaż, panie merze?

Mer, zakłopotany, mruknął coś niewyraźnie. Komiwojażer nie poruszył się. W dalszym ciągu przy-

*) *Vauriens* = hultaje. — *Vautriens* = nazwisko zbrodniarzy.

patrywał się rudemu człowiekowi o zielonych oczach z uporem i wstrętem.

Hubert wstał, i wyciągając rękę do Blondela, rzekł:

— No, bez urazy! Każdy pracuje dla swego pana. Ty dla króla, ja dla prezydenta republiki. Jeżeli kiedy będziesz chciał założyć trafikę...

Blondel zeskoczył nie spiesząc się z bilardu, wzruszył ramionami i wyszedł do izby stołowej.

— Panie merze — rzekł Hubert głuchym głosem — biorę pana za świadka, jak tu traktują dobrych republikanów. Ale on mi za to odpowie przy najbliższych wyborach .. Nic straconego. Ja wszystko notuję w swoich papierach, chociaż nie umiem pisać! Słyszycie — wy wszyscy, którzyście się śmiali przed chwilą?!

To mówiąc, patrzył na wszystkich zimnym przenikliwym wzrokiem W głębi siebie wszyscy czuli się zmieszani, jak gdyby stali przed sędzią. Cynizm, z jakim Hubert postawił mera po swojej stronie, jakgdyby ten był jego wspólnikiem i przyjacielem — wycisnął krople potu na łysem czole p. Jules'a. Hubert zapłacił za wino i zwrócił się swym spokojnym krokiem ku drzwiom. Gdy był na progu, odwrócił się jeszcze:

— Idę się zobaczyć z braćmi... Ale, ale, wracam z tunelu. Widziałem spustoszenie. Jakiś przeklęty łajdak zrobił zamach, powiem o tem zaraz Eliaszowi i Szymonowi. W każdym razie, trzeba będzie odnaleźć szelmę, który nam wyrządza podobne szkody. Życie dla uczciwych ludzi staje się nie do zniesienia!

Poczem zniknął w ciemnym otworze drzwi. Natychmiast sala się opróżniła tak, jakby wyjście tego człowieka przywróciło wszystkim swobodę ruchów, z czego każdy starał się skorzystać, aby ukryć się w takiem miejscu, gdzie podobne wizyty nie mogłyby się powtórzyć. Roubion i jego żona przy pomocy służby zamykali starannie wrota i drzwi od oberży, wychodzące na ulicę. W sali pozostał tylko Patryk, któremu gospodarze życzyli dobrej nocy. Chociaż nikogo, oprócz niego. nie było w pokoju, usłyszał jednak lekki szmer. Domyślił się, że ktoś rozbiera się obok w izbie stołowej, do której drzwi były zamknięte, a która połączona była z salą okienkiem, do podawania potraw. I usłyszał wkrótce głos komiwojażera, który, nachylony przed tym otworem, mówił:

— Dobry wieczór, panie Patryku! Gdyby pan czego potrzebował, proszę na mnie zawołać.

Te wszystkie szczegóły miały na zawsze utkwić w pamięci Patryka, lecz wtedy nie podejrzywał on ich wartości. Odpowiedział grzecznie Blondelowi, i wyciągnął się na materacu, który mu położyli na bilardzie. Gdy leżeli już obaj, rozmowa znów się rozpoczęła.

— Czemu pan nie poszedł spać do swego wuja — zapytał Blondel.

— Stukałem do jego drzwi i wołałem, zapewne wszyscy spali, nie chciałem więc ich budzić.

— Jak się miewa panna Magdalena?

— Zapewne dobrze — dziękuję!

— Kiedyż wesele?

— Niech pan zapyta o to mego wuja.

Blondel zrozumiał, że był niedyskretnym. Zmienił temat, i doszli zaraz do rozmowy o zamachu i ostatnich zbrodniach, które komiwojażer stanowczo składał na karb braci Vautrins.

— Och! — powiedział Patryk — po pierwsze niema dowodów, a następnie w Clermont Ferrand — tak jak tutaj — wszyscy są zdania, że tego wszystkiego nie potrafiliby dokonać trzej bracia.

— Ale trzej bracia i siostra uczynić mogą wiele.

— Co jest nie do uwierzenia — upierał się Patryk — to to, że nie znaleziono żadnych śladów zbrodniarzy, tak u Camusa, jak i u Lombarda.

— Możliwe. Ale co jest pewne, to to, że ani Camus ani Lombard nie otworzyliby drzwi swoich w nocy, gdy ich zamordowano, gdyby nie usłyszeli z ulicy jęków i głosów tej małej, dzikiej Zoé... To siostra ich przyciągała...

Wtem obaj mężczyźni zamilkli jednocześnie, i siedli na swych posłaniach, nadsłuchując: z ulicy dochodziły do nich jęki.

— Słyszał pan? — zapytał zmienionym głosem Blondel.

Patryk nie miał siły nawet odpowiedzieć. Słyszał, jak komiwojażer zeskoczył na podłogę i przedostawał się z ostrożnością do sali bilardowej.

— Możnaby pomyśleć, że mordują kogoś za drzwiami.

(Dalszy ciąg nastąpi).

# Zagadki do nagrody.

### Logogryf.

Ułożyli J. M.; Z. T. i S. E. Kraków.

Środkowy rząd, odpowiednio odgadniętych wyrazów, czytany z góry na dół, poda nam zdarzenie, które wywołało we Wiedniu ogromną sensacyę.

```
— — □ — —
  — □ —
— — □ — —
  — □ —
— — □ — —
  — □ —
  — □ — —
  — □ —
— — □ — —
  — □ —
— — □ — —
  — □ —
— — □ — —
  — □ —
— — □ — —
  — □ —
— — □ — —
  — □ —
— — □ — —
```

*Znaczenie wyrazów:* 1. Rzeka w Polsce. 2. Liczebnik. 3. Narodowość, o której obecnie wiele się mówi w Europie. 4. Bohaterka z „Chaty za wsią“ 5. Imię żeńskie. 6 Część każdego rysunku 7 Najsłynniejsza z greckich heter. 8. Drapieżne zwierzęta 9 Szlachetny kamień. 10. Nienawidzony człowiek. 11. Waga złota i drogich kamieni. 12. Imię żeńskie zdrobniałe. 13. Część każdego budynku. 14 Miejsce kąpielowe w Niemczech 15. Wyspa na morzu Śródziemnem. 16. Zaimek. 17 Zdrobniałe imię męskie. 18. Drzewo szpilkowe. 19. Synonim nędzy.

### Bilet wizytowy.

Ułożyła Lola z Bogucic.

Z liter biletu wizytowego owego jegomości ułożyć jego zawód.

| Adam E. Mirski-Skiwęcki |
|---|

### Szarada.

Ułożył Staker, Kraków.

Każdy *pierwsze* codziennie
*Druga* wszystkim znana,
*Całość,* zwłaszcza dla chorych
Nie jest pożądana.

### Gwiazda magiczna.

Ułożył J. Żugaj, Wilamowice.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

```
      a     a
      a  a  a
a  b  b  e  e  g  g
   i  i  o  o  o
p  r  r  r  s  s  t
      t  y  y
      z     z
```

*Znaczenie wyrazów:* 1. Tytuł utworu Korzeniowskiego. 2 Schronisko dla bydła. 3. Przedmiot używany dawniej do opatrunku ran.

### Zadanie do przestawienia.

Ułożył J Żugaj, Wilamowice.

Litery tak poprzestawiać, aby utworzyły znane polskie przysłowie:

Jaką, łysy, pop, niebiosa.

### Szarada.

Ułożył Staker, Kraków.

*Pierwszy* znany w Krakowie
Czasownik zaś *drugie,*
W *całości* spędza wieśniak
Wieczory zbyt długie.

### Figielek arytmetyczny.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Które to są dwie liczby, aby ich suma wyniosła 30, iloczyn zaś 189?

### Trójkąt magiczny.

Ułożył A. Piekło, Podgórze.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, by powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd pierwszy, poziomy i pionowy, utworzy pseudonim polskiego powieściopisarza.

```
□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□
```

*Znaczenie wyrazów:* 1. Szukany wyraz. 2 Powieściopisarka polska 3 Przydomek jednego z królów polskich 4 Starożytny tragik grecki. 5 Miasto w Hiszpanii 6 Ptak. 7. Poeta polski 8 Gra w karty. 9. Dopływ Dunaju 10 Zaimek. 11. Samogłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *M. Srokowskiego:* **Epigoni.** Powieść.



## Z dziedziny kosmetyki.

### Odpowiedzi.

Na zbyt tłustą cerę należy zaniechać mydeł przetłuszczonych, a używać do mycia otrąbki abaridowe, które doskonale oczyszczają naskórek, udelikatniają takowy i co najważniejsze dozwolą przez otwarte pory wydostać się na powierzchnię wszelkim nieczystościom podskórnym.

*Pensyonarce.* Na piegi i wybielenie szyi najskuteczniejszym jest krem precioza; na opierzchnięcie rąk i twarzy zalecamy użycie „Borolu“.

*M. P. Przeworsk.* Na siwiejące włosy proszę użyć wody „Juno“, która przywraca pierwotny kolor. Na wzmocnienie włosów, oczyszczenie skóry i usunięcie łupieżu, możemy polecić tylko esencyę i mydło tataro-chmielowe. Używanie mydła tataro-chmielowego nie wyklucza esencyi tataro-chmielowej i odwrotnie. Owszem, zalecić się godzi stosowanie obu środków jednocześnie.

**Wszystkie środki kosmetyczne zalecane w tygodnikach i pismach fachowych warszawskich otrzymać można we Lwowie, ul. Akademicka L. 21 w magazynie kosmetyczno-perfumeryjnym E. Pawłowskiego.**

PIERWSZORZĘDNA
# CUKIERNIA
**w Krakowie w Sukiennicach**

# J. Noworolskiego i Ski
przedtem
**Rehman i Hendrich.**

Po gruntownem przerobieniu i powiększeniu lokalu w stylu nowoczesnym **została otwartą** dla P. T. Publiczności.
TOWAR DOBOROWY.



Torebki damskie od 4 K, Portmonetki, Kufry, Walizy, Necesery
w wielkim wyborze poleca najtaniej

# Anastazy Froncz
Kraków, Floryańska L. 17.

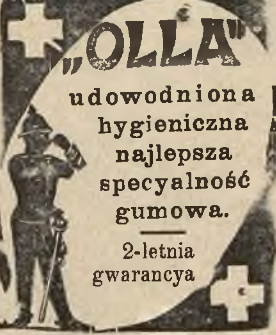
# Tylko dla Pań!
Wykonuje ang. kostyumy, spodnice, amazonki, płaszcze etc.
Wykończenie solidne. Ceny niskie.

# Józef Gałązka
**w Krakowie, ul. Floryańska L. 16.**

## OBUWIE „MARSO"
W cenach
K 10·50, 12·50, 16·50




Kraków, Grodzka 20.

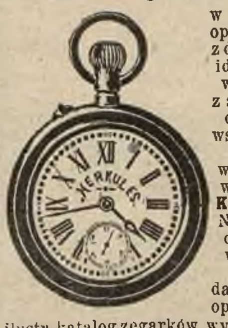



udowodniona hygieniczna najlepsza specyalność gumowa.
2-letnia gwarancya

Wszędzie do nabycia.
Cennik darmo z fabryki gumy.
## „OLLA"
Wiedeń II/56.
Praterstrasse Nr. 57.

# MARYA PRAUSS
KRAKÓW, RYNEK GŁ. 7.
POLECA OSTATNIE NOWOŚCI
PŁASZCZE ANGIELSKIE, DOUBLE i PODBITE FUTREM, PLUSZOWE, WELWETOWE i FUTRZANE; KOSTYUMY, SZLAFROKI i BLUZY wszelkiego rodzaju.
**CENY PRZYSTĘPNE.**

**Wyłączna sprzedaż kiczonkowych zegarków Herkules**




w ładnej oprawie, z dobrze idącym werk., z sekundową wskazówką, w nocy świecąc. **K 3·50.** Na żądanie wysyłam darmo i opłatnie ilustr. katalog zegarków, wyrobów jubilerskich i części składowych zegarków, wszelkiego rodzaju narzędzi, instrument. muzycznych i towarów galanteryjnych
**F. PAMM, Kraków, Zielona 3-53.**

## Koniecznością jest
przy zapotrzebowaniu przedmiotów użytkowych i podarków wszelkiego rodzaju zażądać mojego bogato illustrowanego katalogu z 4000 rycin, który się na żądanie każdemu darmo i opłatnie przesyła. C. i k. nadworny dostawca **Hanns Konrad, Brüx Nr. 2953 (Czechy).**

## HELDOLANA
światowej sławy **mydło** piękności wspaniałej. **Zupełnie nieszkodliwe.** — Usuwa wszelkie **piegi, zmarszczki, pryszcze, plamy** i t. d., i nadaje cerze **świeżość i gładkość.** Cena za puszkę z opisem K 1·50.
Do nabycia we wszystkich aptekach i drogueryach. Składy we Lwowie w aptekach: Z. Ruckera, H. Blumenfelda, J. Pinelesa, K. Dulla i J. Jezierskiego, oraz w drogueryach: J. Rechena, Halicka 21 i H. Grünspana, Gródecka 23.

**Jak ochronić się** **przed zbyt liczną rodziną? Precz ze szkodliwemi artykułami „hygienicznymi".** Szalonej wagi odkrycie dra Müllera. Broszura naukowa. Wysyła za nadesłaniem 50 h., lub 40 kop. w znaczkach poczt. Agencya „Stella" Kraków, Starowiślna 8/J.



**Tylko wprost**
**z Pierwszej śląskiej fabryki „SUDETIA"**
**Jägerndorf 17** (Śląsk austr.)
**kupujcie materyały na ubrania**
dla Panów i Pań jakoteż i
**śląskie płótna**
najlepszego gatunku po najtańszych cenach fabrycznych
**Zachwycające nowości sezonowe! — Resztki za bezcen.**
**Prosimy zażądać wzorów!**

## Strzelby do polowania
doskonale obstrzelane, najlepszej jakości dostarcza
c. i k. dostawca dworu



**HANNS KONRAD Brüx Nr. 2947 (Czechy)**
Dubeltówka Lancaster z lufami stalowemi i łożyskiem o srebrnych prążkach, garnitur z okrągłą oprawą, boki i rączka pistoletowe 16 kalibrowy K. 38·—, 48·—, 55·—, 62·—, 75·— i wyżej. Dubeltówka Hammerles, automatyczna bez kurków, potrójny zamek Greenera, z zabezpieczeniem K. 112·—. Bardzo wielki wybór strzelb do polowania i rewolwerów znajduje się w moim katalogu głównym, który wysyłam każdemu na żądanie darmo i opłatnie.

NAJLEPSZA CZEKOLADA Z FABRYKI **ADAMA PIASECKIEGO, KRAKÓW** UL. DŁUGA L. 12. - FLORYAŃSKA 2. PROSZĘ ŻĄDAĆ WSZĘDZIE

## Przeglądnij Pan!
przed zakupnem towarów użytkowych i podarków wszelkiego rodzaju mój bogato illustrowany główny katalog z 4000 rycinami, który na żądanie każdemu darmo i opłatnie wysyłam.
C. i k. dostawca dworu
**HANNS KONRAD**
w Brüx Nr. 2952.
(Czechy).



## Ostrożność nigdy nie zaszkodzi,
dlatego niechaj Pan kupuje tylko
**najlepsze hygieniczne artykuły**
u **Auera** za nadesłaniem marek listowych. 3 sztuki K. 1·—. 6 sztuk K. 1·80, tuzin K. 2·20, 4·20, K. 6·20 wraz z przepisem używania oraz bogatym illustrowanym cennikiem wszelkich artykułów gumowych i kuriozów.
## H. AUER,
**fabryczny skład artykułów gumowych**
**Wiedeń I., Wipplingerstr. 15—70.**

Najlepsze czeskie źródło!




## TANIE PIERZE
1 klg. **szarego,** dartego kor. 2, lepszego gatunku Kor. 2·40, **nawpół białego** K 2·80, **białego puchowego** K 5·10 1 klg. **śnieżnobiałego** dartego w najl. jakości K 6·40, K 8. 1 klg. **szarego puchu** K 6 i 7, **białego** K 10, najl. puchu **brzusznego** K 12.
**Przy odbiorze od 5 klg. wysyłka franko.**

**Gotowe pierzyny** z grubonicianego czerwonego, niebieskiego, białego lub żółtego inletu (Nanking), 1 **pierzyna** 180 cm. dług. 120 cm. szer. z dwoma poduszkami każda 80 cm. dług. 60 cm. szer., dostatecznie wypchane nowem, szarem, czyszczonem, jędrnem i trwałem pierzem K 16, **półpuchem** K 20, **puchem** K 24, sama pierzyna K 10, 12, 14, 16, poduszka K 3·—, 3·50, 4·—, pierzyny o 200 cm. dług. 140 cm. szer. K 13, 14·70, 17·80, 21, poduszki 90 cm. dług. 70 cm. szerok. K 4·50, 5·20, 5·70. Podściółki z mocnego gradlu 180 cm. dług. 116 cm. szer. K 12·80. 14·80. — Wysyłka za zaliczką, od 12 kor. opłatnie. — Zamiana dozwolona, za nienadające się zwracamy pieniądze. — **Bogato illutr. cenniki darmo i opłacone.**
**S. Benisch w Deschenitz Nr. 757 (Czechy).**

Dyplomy Honorowe na wyst.: Kraków 1901, Karlsbad 1908, Londyn 1908, Paryż 1908.
# W. SZNAJDROWICZ
**Kuśnierz**
**w Krakowie, Rynek Linia A-B L. 45, I. p.**

Poleca Szan. P. T. Publiczności, swój obficie i jedynie w towary doborowe zaopatrzony skład i pracownię jakoto: Futra damskie, żakiety futrzane, Saka, Boa, Garnitury, Futra męskie spacer. i podróżne, Marynarki, Bekiesze, Czapki futrzane oraz wielki wybór Serdaków i Peleryn.

**Zamówienia** wykonywują się z całą starannością, jak również wszelkie przeróbki oraz pokrycia futer i w tym celu magazyn posiada **wielki wybór materyałów** z fabryk krajowych, jak również angielskich.

C. K. DOST. NADW.
# „UNDERWOOD"
**Generalny zastępca na Galicyę**
**EMIL URICH, Lwów, ul. Sykstuska 29 ⊙ Tel. 901**
**Kraków, ul. Szewska 19 ⊙ Tel. 1164**
poleca **oryginalne amerykańskie maszyny do pisania z zupełnie widocznem pismem.**

Maszyny do powielania, rachowania i kopiowania listów. Przybory do maszyn wszelkich syst. Szkoła nauki pisania na maszynach według amerykańskiego systemu. Zakład przepisywania i powielania pism na maszynach.

# Restauracya Starego Teatru
pod nowym zarządem
**otwartą została dnia 24 września**

**Doborowa kuchnia** pod kierunkiem pierwszorzędnego kuchmistrza z Warszawy.
**Piwo pilzneńskie.** Piwnica zaopatrzona obficie w najlepsze napoje i trunki
**Cztery gabinety artystyczne z pianinami.**

**Mała sala** na bankiety, wesela i zebrania towarzyskie.
**Codziennie kwartet muzyki salonowej**
ANTONI KWIATKOWSKI i RUDOLF STRIET
restauratorzy.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński  Klisze z własnego zakładu.  Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madeyskiego